Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII | Warszawa, dn. 14. X. 1951 r. | Nr 41 (323)

DZIŚ W NUMERZE:

JÓZEF MOZGA

Z NOTATNIKA SPÓŁDZIELCY

Siedzę od kilku godzin na dachu naszej spółdzielczej obory, przyjmuję podawane mi z dołu czerwone dachówki. Układa je wprawnie mój kolega. Jest właśnie chwila przerwy. Widok stąd rozległy. W przodzie szkoła, budujący się dom ludowy, dalej za drogą do Głuchowa wyrastają pierwsze nowe domki mieszkalne członków kolektywu. Zupełnie w tyle, na łagodnym podgórzu — pobladłe, młode i wątłe jeszcze drzewka spółdzielczego sadu, najmłodszego sadu w tych stronach. Liczy zaledwie rok, tyle co nasz kolektyw. Statut spółdzielni produkcyjnej w Godzianowie powiatu skierniewickiego, podpisaliśmy 28 lipca 1950 roku.

Ziemię mamy nienajlepszą. Z tego chociażby względu nie mogliśmy pójść na gospodarkę zbożową, ani nawet na intensywną uprawę roślin przemysłowych. W kolektywie przeważa zdecydowanie biedota, są także i bezrolni. Nie wnieśli bogatego wiana. Ziemi mamy mało, musimy się liczyć z każdym jej skrawkiem. Dlatego już na zebraniu założycielskim postanowiliśmy nadać spółdzielni charakter hodowlany.

Jakże piękna jesień! Lekki wiatr pędzi babie lato ku domom indywidualnie gospodarujących chłopów, ku — jak my to nazywamy — „starej" wsi. Jeszcze przed rokiem stanowiliśmy jej część. Palimy papierosy. Koledzy namawiają mnie, abym napisał dzieje minionego roku. Sporządzałem notatki od początku — przyjaciele. Czas do roboty!

WRZESIEŃ 1950

Natknąłem się któregoś dnia na Piotra — brygadiera grupy hodowlanej. Stoi na łące ponury i najwidoczniej poddenerwowany. Na nasze małe spółdzielcze stadko ani spojrzy. Obok popłakuje żona. Co się stało? Piotr rzuca kijem o ziemię i krzyczy:

— Niech piorun trzaśnie taką hodowlę! Pies z kulawą nogą o nią się nie zatroszczy, a w statucie napisane, że trzon naszej produkcji, to hodowla. W Wilkowicach jest krowia buchalteria, wyliczają, sprawdzają każdy litr mleka, brygadziści ustalają normy na żywienie, a u nas zrobili z tych nieszczęśliwych krowin piąte koło u woza a ze mnie pastucha jak za dziecinnych lat. Jestem brygadierem, czy świniarzem?

PAŹDZIERNIK 1950

Gwałtowne wystąpienie Piotra zmusiło nas do przemyślenia wielu niedociągnięć w organizacji pracy. Mamy zasadniczo cztery brygady robocze: hodowlaną, polową, ogrodową i budowlaną oraz czterech brygadzistów. Ale naprawdę kolektyw nasz wciąż jeszcze wygląda na tradycyjny zespół rodzinny, a przewodniczący na tatę, któremu żona nadmiernie obrodziła.

Wychodzi nasz tata co rano przed zgromadzonych ludzi i powiada: Józek, teraz pójdziesz do buraków, potem na budowę obory, pokopiesz studnię, a co dalej to się mnie zapytasz. Bolek — do pomidorów, potem z Piotrem do krów, reszta później, jak se pomyślę. Siedzi więc człowiek nosem w późnych pomidorach, kopie studnię, nosi cegły, dogląda maszyn i stale się pyta — co dalej. Cała ta praktyka toczy się z dnia na dzień, ponad zleceniami statutu, brygadzistami i jakimkolwiek planem.

Pierwsze miesiące były ciężkie. I to nie tylko z powodu braku planu i nieprzestrzegania podziału pracy. Lenin mówił: że najtrudniej jest walczyć z tym, co się w człowieku od lat zasiedzi, od dzieciństwa zakorzeni.

LISTOPAD 1950

Już w pierwszych miesiącach odczuliśmy na własnej skórze siłę starych nawyków i przyzwyczajeń. Kiedyż sięgnie Piotr po książkę o racjonalnej hodowli krów, kiedy dopracuje się skutecznych metod podniesienia dojności krów, kiedy wykorzysta doświadczenia radzieckich i naszych kolektywów? Prawdę mówiąc, jesteśmy na razie grupą kiepskich, uniwersalnych majsterków, każdy się trochę na wszystkim zna, na tym, co dotyczy tradycyjnego, drobnotowarowego rolnictwa, nie chwytamy jednak istoty socjalistycznej gospodarki, nie umiemy jeszcze gospodarzyć po nowemu, stale brak nam jasno wyznaczonych działów produkcji, w których wyrobilibyśmy się na określonych specjalistów.

Budujemy właśnie pierwsze domy, wygodne, widne domy dla trzech spółdzielców. Co za kapitalna okazja do agitacji, zadokumentowania naszych możliwości inwestycyjnych, naszej troski o człowieka! Niech rosną nasze piękne domki, niech je ludzie porównują z krzywą chałupą drobnorolnego, stojącą za plebanią. Cóż, kiedy rosną bardzo powoli. Zawodzi nasza wzajemna pomoc. Stanisławowi spółdzielcy pomagają, bo go lubią, a do Jana nikt z pomocą nie spieszy, więc samotnie i z trudem kładzie fundamenty pod swój przyszły dom. I tak to się za nami wlecze smutna tradycja pomocy sąsiedzkiej „po uważaniu".



Spółdzielcza plantacja pomidorów w Godzianowie

GRUDZIEŃ 1950 — STYCZEŃ 1951

Przegapiliśmy w poważnym stopniu sprawę poszerzenia kolektywu. Szkoda tym większa, że w końcu jesieni propaganda wroga znacznie osłabła. Poszepty kułackie o dzwonku, który miał nas podrywać do pracy straciły wiarę. W Godzianowie dzwoni tylko kościelny. Obiecywano nam głód, lecz i to zawiodło. Nie ma także wspólnego kotła. A co innego, że kobiety marzą o stołówce, bo chcą uniknąć codziennego kręcenia się przy kuchni w południowej porze zasłużonego odpoczynku.

Na wsi wyczuwało się wprawdzie rezerwę w stosunku do nas — spółdzielców, ale równocześnie z daleko większą rezerwą odnosili się ludzie do kułackich plotek. Powinniśmy byli rozpocząć energiczną agitację, nim wróg zdobędzie się na nowe chwyty w walce z nami. No i pospaliśmy się pod tym względem niczym susły, aż po okresie pozornej ciszy poszła po okolicznych wsiach pogłoska, że rząd będzie z wiosną rozwiązywał te spółdzielnie, które niedaleko zaszły w socjalizm.

Straciliśmy kilku średniaków, skłaniających się ku spółdzielni. Za nimi mogli pójść inni...

MARZEC 1951

Jesteśmy w „modzie" na terenie całego województwa łódzkiego a nawet i dalej. Piszą o nas tygodniki, piszą dzienniki. Stale ktoś nas odwiedza: wycieczki szkolne, dziennikarze, literaci. Od kilku dni gościmy ekipę Filmu Polskiego, która kręci film o walce z analfabetyzmem. Zapowiedziała przyjazd grupa muzyków z Polskiego Radia. Ci chcą tu nagrać księżackie piosenki. Dramatopisarka wiejska Zofia Solarzowa pisze sztukę o naszej spółdzielni.

Korzyści odnosimy z tego zainteresowania dosyć duże. Filmowcy przyspieszyli elektryfikację Godzianowa i wyreperowali zęby Katarzynie Mozdze, grającej główną rolę w filmie o analfabetach. Dziś rzadko kiedy spotkasz chłopa, który by nie czytał „Głosu Robotniczego", „Wsi", która zapoczątkowała nową tradycję czytelnictwa pism społeczno-literackich na naszym terenie.

KWIECIEŃ 1951

Grupy agitatorów — ZMP-owców z liceum wyruszają w teren. Na Zapady, Białynin, Drzewce, Przybysze, Lipce, Słupię poszli najlepsi młodzieżowcy — Królikowski, Wojdakówna, Dziąg, Matatówna, Mozdżanka, Mikołajczyk i inni. Nasi najwierniejsi sojusznicy.

Zupełnie niespodziewanie — pokryły się kwieciem niektóre drzewka naszego młodego sadu. Szczegół tylko pozornie bez znaczenia. Te kilkaset drzew przyniesie obfity plon w najbliższych latach.

Oto grupa ogrodnicza przy plantacji pomidorów. Przystaje nad nimi wielu chłopów, przyglądają się. Siedem tysięcy krzaków! — takiej liczby nikt dotąd w tych stronach nie widział. Niewielka grupa, wszystkiego 5 osób, zdumiewa indywidualnie gospodarujących chłopów jeszcze bardziej, kiedy wytycza spory kawał ziemi na plantację ogórków.

Organizacja pracy usprawnia się. Na wzgórzu — budowlani! Już się czerwienią mury wielkiej, nowoczesnej obory. Podbiega tam co chwila Piotr, aby nacieszyć się widokiem przyszłego warsztatu pracy.

Są i trudności. Brak nam koni i wozów. Średniacy, najwidoczniej namówieni — nie chcą pożyczyć swoich. Jak podwieziemy budulec? Na wsi napięcie: postawią tę oborę, czy nie postawią? I tu się okazuje, że nie ma niepolitycznych spraw. Gospodarcza w zasadzie inwestycja budowy obory stała się problemem politycznym. Zwyciężyliśmy. Stoi za nimi potęga maszyn POM-u. Przyjechał traktor z dwoma przyczepkami, rozentuzjazmowane dzieci najbardziej powątpiewających o nas średniaków przez cały dzień ładowały bezinteresownie budulec.

MAJ 1951

Piotr pojechał na kurs dla hodowców, aby przygotować się do objęcia trzonowego działu produkcji naszej spółdzielni. Na jesień obora będzie gotowa, zakupiliśmy nowe sztuki bydła. Do żniw przeszkolimy wszystkich brygadzistów. W listopadzie będą oni prowadzić szkolenie zawodowe dla reszty.

Piszę przekonany, że tak się stanie: nowa obora, trzy domki mieszkalne, nowe sztuki bydła, jeszcze kilkaset drzewek owocowych, nowy racjonalny płodozmian, duża plantacja buraka cukrowego. Zarysował się już wyraźnie dalekowzroczny plan i podział pracy. A jeszcze ubiegłej jesieni?

Wróg nie śpi. Oto słychać po wsi: łąka im wyschnie, padną krowy, zmarnieją pomidory i zboże na pniu, chwasty zjedzą buraczane pole. Ano zobaczymy. Na razie cały kolektyw, liczący niewiele więcej niż dwadzieścia osób, pracuje bez wytchnienia od rana do nocy.

CZERWIEC 1951

Nasz plan jest prosty. W okresie żniw zorganizujemy pomoc sąsiedzką. SOM w Godzianowie nie dysponuje traktorem, ani większymi maszynami. Traktor i snopowiązałka obsłużą nie tylko nasze pola, lecz również i średniackie. Będzie to niespodzianka, jaką szykujemy kułakom, którzy rozpowiadają, że nie damy sobie rady. Oficjalnie umawiamy się tylko z jednym właścicielem średniorolnego gospodarstwa.

LIPIEC 1951

Pełne pracy i napięcia dni. Zboże obrodziło dobrze. Meszkowa, średniorolna wdowa wzruszona była do łez zapowiedzianą pomocą przy żniwach. Traktor jednak nie nadszedł z winy POM-u w Dębowej Górze. Nie dopilnowano remontów. Pracowaliśmy przy pomocy konnej żniwiarki, narażeni na drwiny ze strony dużej części wsi. W tych trudnych dniach, kiedy, niespodziewanie zawiodły maszyny, ujawniła się szczególnie silnie spoistość i samozaparcie kolektywu, ujawnił się najcenniejszy kapitał - człowiek. Skończyliśmy żniwa pierwsi w całej okolicy. Nim stroskana Meszkowa, pominięta naskutek umowy z nami w planie pomocy SOM-u, zdołała się zastanowić, czy pójść do kułaka czy nie — już nasza brygada z kosami przewieszonymi przez ramię przybyła na jej pola. Powrót brygady przypominał trochę marsz triumfalny. Towarzyszyła nam Meszkowa. Ta do spółdzielni na pewno przystąpi. Gdybyśmy jednak mieli traktor!

SIERPIEŃ 1951

Od kilku dni zajeżdżają do nas ciężarówki Centrali Ogrodniczej ze Skierniewic. Na oczach wsi trwa załadowywanie skrzynek z pomidorami i ogórkami. Na oczach wsi odbieramy pieniądze. Upubliczniamy nasze transakcje handlowe zupełnie świadomie. Nasz materialny dorobek, obok moralnego niejako zwycięstwa w okresie żniw, stanowi najsilniejszy argument za wyższością spółdzielczej gospodarki.

WRZESIEŃ 1951

Kończymy budowę obory. Pozostało jeszcze tylko układanie dachówek. Za kilka dni wprowadzi się tu Piotr ze znacznie powiększonym stadem bydła i trzody.

Minął rok, jak biczem trzasł. Brygadziści już wyszkoleni. Idziemy wyraźnie na hodowlę i warzywnictwo. Prowizoryczne obliczenia pozwalają przypuszczać, że dniówka obrachunkowa zbliży się do 30 złotych. Dokonywaliśmy tych rozrachunków publicznie, kto chciał, to się przysłuchiwał. Oj, przysłuchiwali się, przysłuchiwali zwłaszcza biedniacy, którym te 30 złotych dziennie i to przez okrągły rok dobrze rozjaśniły w głowach.

Ale żaden z nas o braniu zaliczki pieniężnej nie myśli. Mamy jeszcze zapasy z ubiegłego roku, więc wytrzymamy. Na razie inwestujemy każdą złotówkę.

A po jesiennych pracach rozpoczniemy serię wspólnych posiedzeń z indywidualnie gospodarującymi chłopami. Sami tego chcą. Pierwsza przemówi wdowa po Meszce.

Józef Mozga

NA STRAŻY POKOJU



Marszałek Rokossowski z działonem przodującym w strzelaniu.
Foto WAF

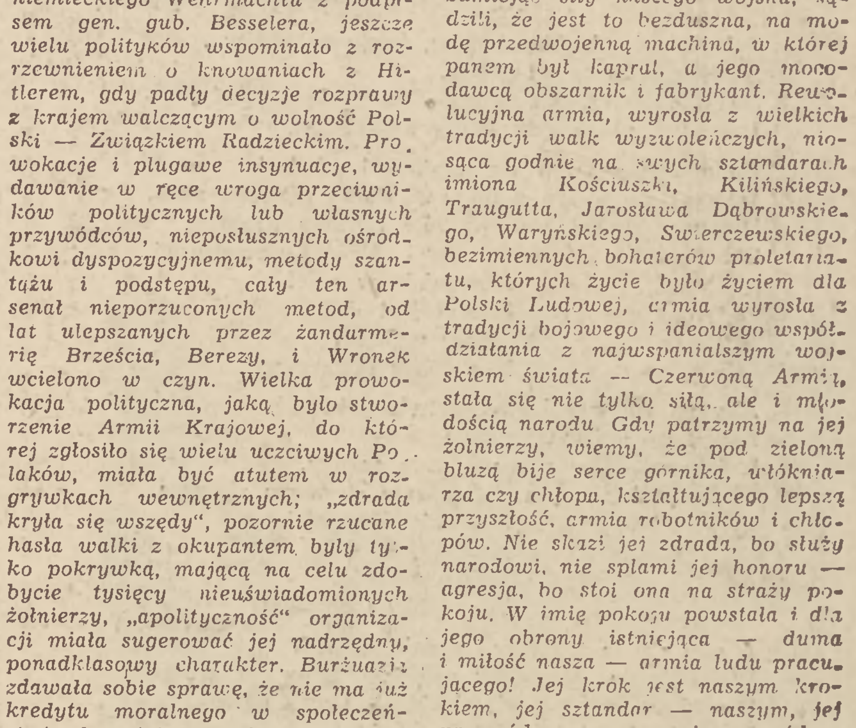
ZDRADA była między panami polskimi w naszym narodzie. Zdrada kryła się wszędy, a my nie wiedzieli nic". Te słowa wiarusa armii Bonapartego, Zawilca (ze sztuki „Sułkowski" Żeromskiego) powtarzały we wrześniu 1939 r. tysiące żołnierzy, rozproszonych, pognanych na rzeź i haniebnie zdradzonych. Niechlubnym tradycjom stało się zadość. Nie po raz pierwszy dostrzegał żołnierz polski zakłamanie i pospolite oszustwo, zaprzedanie interesów narodowych w imię interesów jednej klasy: wyzyskiwaczy.

Lata wojny niosły wyzwolenie. Świadomość zdradzonych, oszukiwanych w imię najświętszych haseł, stanowiło czynnik, utrwalający postanowienie o przemianach. Jeszcze w masach robotniczych Zagłębia Dąbrowskiego nie wygasła pamięć o Gwardii Ludowej z 1918 r, jeszcze wielu pamiętało o walkach Wielkiej Rewolucji, których było uczestnikami, gdy padły decyzje wymarszu w pole. Jeden był wróg w kraju i jeden był w narodzie — burżuazja. Klęska wrześniowa nadszarpnęła jej znaczenie w społeczeństwie, nie wydarła jednak broni i środków finansowych. W stolicy burżuazyjnej Anglii, Londynie, powoli narastał spisek przeciw narodowi, przewodzili mu ci, którzy nie raz zdradzili. Jeszcze nie spłonęły w archiwach legitymacje agentów austriackiej H. K. Stelle, czy niemieckiego Wehrmachtu z podpisem gen. gub. Besselera, jeszcze wielu polityków wspominało z rozrzewnieniem o knowaniach z Hitlerem, gdy padły decyzje rozprawy z krajem walczącym o wolność Polski — Związkiem Radzieckim. Prowokacje i plugawe insynuacje, wydawanie w ręce wroga przeciwników politycznych lub własnych przywódców, nieposłusznych ośrodkowi dyspozycyjnemu, metody szantażu i podstępu, cały ten arsenał nieporzuconych metod, od lat ulepszanych przez żandarmerię Brześcia, Berezy, i Wronek wcielono w czyn. Wielka prowokacja polityczna, jaką było stworzenie Armii Krajowej, do której zgłosiło się wielu uczciwych Polaków, miała być atutem w rozgrywkach wewnętrznych; „zdrada kryła się wszędy", pozornie rzucane hasła walki z okupantem były tylko pokrywką, mającą na celu zdobycie tysięcy nieuświadomionych żołnierzy, „apolityczność" organizacji miała sugerować jej nadrzędny, ponadklasowy charakter. Burżuazja zdawała sobie sprawę, że nie ma już kredytu moralnego w społeczeństwie, lecz jej przywódcy nie rezygnowali z walki, choćby kosztem milionowych ofiar, zarówno w ludziach, jak i miastach. Spalono Warszawę, jej klęska stała się grobem burżuazji.

Tymczasem Armia Ludowa rosła w siłę: robotnicy i chłopi, artyści i technicy, dawni więźniowie katowni sanacyjnych i więźniowie katowni hitlerowskich, żołnierze armii wrześniowej i byli uczestnicy walk w Hiszpanii wypełnili jej szeregi. Narastała ta armia narodu we francuskich oddziałach Ruchu Oporu, krzepła w siłę na Ziemi Radzieckiej, rozrastając się w kompanie, bataliony, pułki, dywizje; w lasach parczewskich czy włoszczowskich przywracała godność synowi narodu podbitego.

Jeden był wróg w kraju i jeden w narodzie — burżuazja. Zwycięski marsz nie kończył się na zdobyciu Berlina, gdy na Bramie Brandenburskiej obok czerwonych sztandarów zawisła flaga o barwach biało-czerwonych. Ci, co strzelali zza węgła do rekrutów, idących z oddaniem na bój z hitleryzmem, ci, którzy nie zapomnieli o Borowie i męce Gwardzistów, gdyż byli jej sprawcami — pozostali wierni sobie. Chcieli tę wspaniałą, młodą i rewolucyjną armię opanować, użyć do swych miernych celów. Tradycje zdrady były przecież ich tradycjami. Postawieni pod sąd wojskowy ukazali całą swą nicość, „oficerowie" bez żołnierzy, dowódcy bez pułków. Tatar, Mossor i inni jeszcze raz potwierdzili, że umieją tylko kłamać i płaszczyć się. Nie rozumiejąc siły naszego wojska, sądzili, że jest to bezduszna, na modę przedwojenną machina, w której panem był kapral, a jego mocodawcą obszarnik i fabrykant. Rewolucyjna armia, wyrosła z wielkich tradycji walk wyzwoleńczych, niosąca godnie na swych sztandarach imiona Kościuszki, Kilińskiego, Traugutta, Jarosława Dąbrowskiego, Waryńskiego, Świerczewskiego, bezimiennych bohaterów proletariatu, których życie było życiem dla Polski Ludowej, armia wyrosła z tradycji bojowego i ideowego współdziałania z najwspanialszym wojskiem świata — Czerwoną Armią, stała się nie tylko siłą, ale i młodością narodu. Gdy patrzymy na jej żołnierzy, wiemy, że pod zieloną bluzą bije serce górnika, włókniarza czy chłopa, kształtującego lepszą przyszłość, armia robotników i chłopów. Nie skazi jej zdrada, bo służy narodowi, nie splami jej honoru — agresja, bo stoi ona na straży pokoju. W imię pokoju powstała i dla jego obrony istniejąca — duma i miłość nasza — armia ludu pracującego! Jej krok jest naszym krokiem, jej sztandar — naszym, jej przywódcy — naszymi przywódcami, chłopów i robotników.

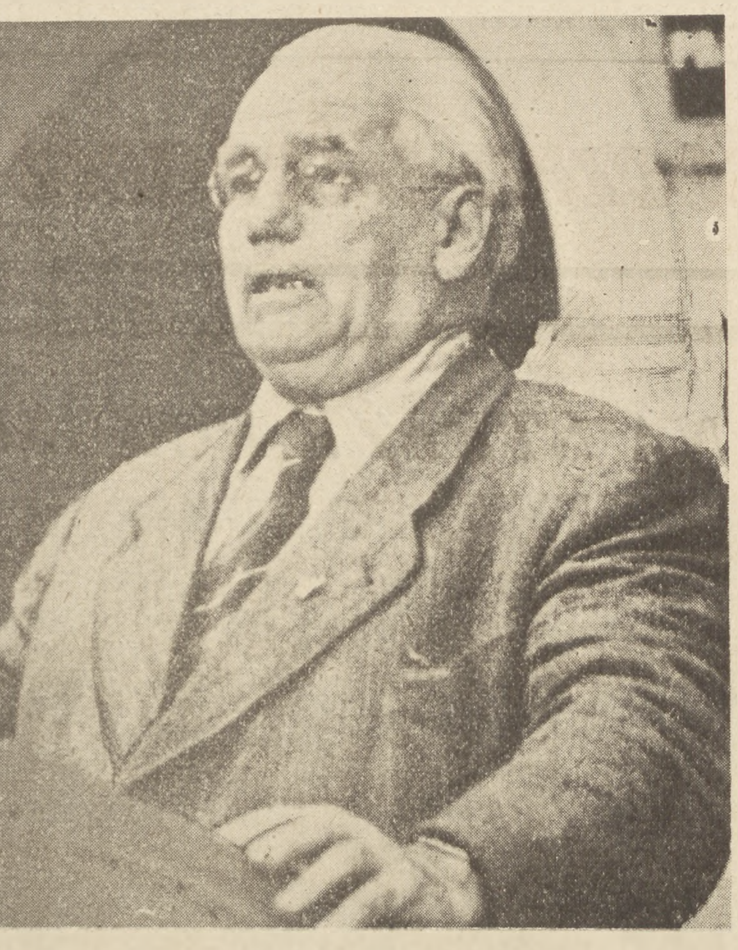
Armia Ludowa, Wojsko Polskie niech żyje!



Żołnierze I Dywizji na postawie wyjściowej do szturmu pod Lenino.
Foto WAF

„Istnienie miłujących pokój demokratycznych Niemiec obok istnienia miłującego pokój Związku Radzieckiego wyklucza możliwość nowych wojen w Europie".

STALIN



Wilhelm Pieck — Prezydent Niemieckiej Republiki Demokratycznej, której rocznica utworzenia, mija 7 października.

BERTOLD BRECHT

TŻAGANAK BERSIJEW

(Fragment poematu)

Stalin mówił do uczniów Miczurina o prosie
I nazwał proso zdziczałym dzieckiem.
O suchych wiatrach mówił i nawozie
Wielki żniwiarz narodów radzieckich.

Nie proso było oskarżonym, gdy przesłuchiwano
Kapryśną córkę stepów. W dalekiej Moskwie
W Instytucie Łysenki, powiedziało,
Co mu pomaga, a co szkodzi we wzroście.

I ruszyły drużyny agronomów
Na teren południowej i wschodniej produkcyjnej bitwy,
By o prosie pouczać kołchozowych chłopów,
O tym, kiedy lepiej obradza i kwitnie.

Że najlepsza dlań jest gleba przegrzana
Do piętnastu stopni na głębokość dłoni,
Że nie pragnie być siana według kalendarza,
Lecz wtedy, gdy gleba ma piętnaście stopni.
„Pomóżcie cierpliwej!
Pomóżcie skromnej!
Pomóżcie dobrej,
Zdrowej żywicielce!"

Jak siać należy: w szerokich rzędach,
Gdyż proso niechętnie gęsto rośnie.
Żniwa w trójnasób obfitsze będą,
Gdy światła będzie więcej trzykrotnie.
Poskromcie niecierpliwość!
Dajcie, a odda wam!
Gdy samo sobie pomoże,
Chętniej wam przyjdzie z pomocą.

Tak dotarły do Kazakstanu, kraju nomadów,
Akademii odezwy i pisma.
Do współzawodnictwa skrzyknęły się brygady,
Uprawiać proso, jak nigdy dotychczas.

Na polach aulu, w warsztatach i szkołach,
Wszczął się w ten wielki, wiosenny poranek ruch.
Bersijew zwołał kierowników uprawy prosa
Z kołchozów „Nowa Droga" i „Róża Luksemburg".
„Ruszajcie w pole!
Krótki jest dzień.
Żniwo wykaże,
Kto dobry towarzysz!"

Aby go we współzawodnictwie pokonali,
Rzucił im stary wezwanie
I, jak zawodów nowe brzmią zasady,
Obdarzył ich swym najlepszym siewnym ziarnem.
„Ruszajcie w pole!
Krótki jest dzień.
Żniwo wykaże,
Kto dobry towarzysz!"

A gdy z pola traktory i ludzie wrócili,
W kołchozie „Kurman" radośnie zmęczona gromada
Przyniosła wagę i odważniki — i zważyli:
Dwadzieścia pięć kwintali z hektara.

Dziesięciokrotny plon lat ubiegłych!
Całą zimę, przy ogniu, chwalono w aulu
Bersijewa gatunek prosa niedościgły.
Lecz stary rozmyślał o nowym gatunku.
O sny! Złociste „jeśli"!
Spójrz, jak zbiory kłosów potop jasny!
Siewco, nazwij
Twe dzieło jutrzejsze już dzisiaj swym własnym!

Zima przeszła w wiosnę. Tratkory i ludzie ruszyli
Na nowe współzawodnictwo i wzrosła miara.
Jedno ziarno przyniosło siedemset. Gdy zważyli,
Było osiemdziesiąt siedem kwintali z hektara.

Gdy władza radziecka dała mu Order Lenina,
Tżaganak Bersijew pojechał do Moskwy.
I zasiadł przyjaźnie przed uczniami Miczurina
Były koczownik w Akademii Umiejętności.

Pytali go o wiele; i rzekł w odpowiedzi,
Głaszcząc się dłonią po brodzie:
„Przyjdźcie do mego aulu — niech mówią sąsiedzi,
Lepsi już ode mnie są moi uczniowie!"

Tłum. WITOLD WIRPSZA.

K. R. ZAWADZKI

Ludy świata powiedzą imperialistom: NIE!

Metody oraz „technika" agresywnej strategii imperializmu mają dające się od dawna (gdyż na przestrzeni bodaj całej pierwszej połowy XX wieku) zaobserwować wspólne cechy, kierunki i kontury. Nie jest zatem rzeczą przypadku, że również imperializm USA w przygotowaniach do III wojny światowej usiłuje oprzeć się na tych samych siłach i obszarach dla przeprowadzenia koncentracji strategicznej, usiłuje rozbudować te same **„arsenały"** wojenno-gospodarcze, które tak niedawno w II wojnie światowej odegrały ponurą rolę. Są to: w Europie Niemcy Zachodnie, na Dalekim Wschodzie zaś — Japonia.

*

Jaskrawym wyrazem tych zbrodniczych knowań, machinacji dyplomatycznych są konferencje w San Francisko, Waszyngtonie, Ottawie.

Konferencja w San Francisko (przeprowadzona w początku września br. przy akompaniamencie zrzucanych przez ciężkie bombowce amerykańskie bomb na neutralną strefę Kaesongu), zakończona została pod dyktando sekretarza stanu USA Achesona podpisaniem separatystycznego **„traktatu pokojowego"** z Japonią. Była ona zaledwie jednym z pierwszych aktów na drodze urzeczywistnianej już dziś agresji. Podpisany natomiast w San Francisko (również we wrześniu) między rządem USA, a rządem Japonii odrębny tzw. **„Pakt Bezpieczeństwa"** ma bardziej konkretne cele. Jest to typowy agresywny sojusz wojenny, zawarty między imperialistami amerykańskimi a japońskimi rewanżystami W razie realizacji postanowień tegc „paktu" Japonia stanie się głównym ośrodkiem agresji na Dalekim Wschodzie, satelitą dostarczającym monopolistom Wall Streetu tanie mięso armatnie oraz służącym jako posłuszne narzędzie agresji USA w basenie Pacyfiku.

Analogiczną linię polityczną imperializm USA usiłuje przeprowadzić w Europie. Zakończone bowiem w Waszyngtonie (również we wrześniu) obrady trzech ministrów spraw zagranicznych: USA — Acheson, Wielkiej Brytani — Morison i Francji — Schuman są jeszcze jednym jaskrawym dowodem, że w Europie bazą agresji imperializmu amerykańskiego oraz jego siłą uderzeniową mają być niedobitki militarystów i faszystów Niemiec Zachodnich.

Z opublikowanych dokumentów oficjalnych wynika bowiem, że Niemcy Zachodnie zostaną nie tylko włączone do agresywnego Paktu Atlantyckiego, lecz w oparciu o **„plan Schumana"** i **„plan Plevena"** stanowić będą tegoż Paktu główną bazę wojenną i gospodarczą.

Dziś jest publiczną tajemnicą, że tzw. „plan Schumana" ma oddać we władanie monopolistom amerykańsko-niemieckim wszystkie zasoby gospodarcze i cały przemysł Europy Zachodniej. Tzw. „plan Plevena" przewiduje zaś sformowanie zachodnio-niemieckich sił zbrojnych, wchodzących z kolei w skład **„ponadnarodowych zachodnio-europejskich"** sił zbrojnych, dowodzić którymi będzie umundurowany agent Wall Streetu — generał USA Dwight Eisenhower.

Reasumując: utworzony na bazie Zagłębia Ruhry superkartel węglowo-stalowy zawładnie całą gospodarką Francji, Włoch, Belgii, Holandii i Luksemburga. Będzie to potencjał wojenno-gospodarczy sił zbrojnych Niemiec Zachodnich oraz sił zbrojnych USA (European USA Forces), dyslokowanych w Europie. Siła i zasoby tego potencjału byłyby znacznie większe od tych, jakimi faszyzm Hitlera i Mussoliniego dysponował w przededniu II wojny światowej.

I wreszcie trzecia wrześniowa sesja: Rady Paktu Północno-Atlantyckiego w Ottawie (Kanada), w której wzięli udział ministrowie spraw zagranicznych, finansów oraz wojny 12 rządów — sygnatariuszy powyższego paktu, przeprowadzona została na bazie postanowień, przyjętych poprzednio w San Francisko i Waszyngtonie. Przedstawiciele rządu USA po prostu polecili swym **„atlantyckim sojusznikom"** przyjęcie do wiadomości (bez dyskusji!) i natychmiastowej aprobaty wszystkich decyzji, powziętych przez „wielką trójkę" (tzn. narzuconych przez Achesona panom: Morrisonowi i Schumanowi).

Postanowienia te dotyczyły: sformowania tzw. **„europejskich sił zbrojnych"** w oparciu o trzon tj. siły zbrojne Niemiec Zachodnich; rewizji traktatu pokojowego z Włochami (1947), celem zlikwidowania postanowień ograniczających liczebność włoskich sił zbrojnych; włączenia do Bloku Atlantyckiego Grecji i Turcji; a wreszcie rozstrzygnięcia (nierozstrzygalnego) problemu w sprawie rozdziału ciężarów finansowych, związanych z wyścigiem zbrojeń.

*

Rzut oka na genezę straszliwych kataklizmów, jakimi były I i II wojna światowa, potwierdzi z jednej strony niebezpieczeństwo — jakie obecnie wskutek ludobójczej polityki rządu USA zawisło ponownie nad ludzkością. Przypomnienie zaś metod i zorientowanie się w sposobach działania imperializmu USA, który po II wojnie światowej podjął zdeptaną żagiew agresji, umożliwi z drugiej strony wzmożenie jeszcze bardziej skutecznej walki o pokój. Imperializm USA jest bowiem dzisiaj najbardziej agresywnym, drapieżnym i niebezpiecznym, stosującym z całą perfidią i gangsterską bezwzględnością politykę ludobójstwa i strategię totalnej grabieży.

Już pierwsze kroki imperializmu amerykańskiego na arenie międzynarodowej cechowała agresja lub co najmniej nawoływanie do agresji.

I tak w roku 1797 sekretarz skarbu USA A. Hamilton oświadczył publicznie: że **„USA podporządkowawszy sobie Środkową i Południową Amerykę, stanowić będą siłę „panamerykańską", dyktującą swą wolę zarówno Nowemu, jak i Staremu Światu"**.

Zgodnie z tą zapowiedzią już w latach 1819—1853 siły zbrojne USA interweniowały niejednokrotnie w krajach Ameryki Łacińskiej. Inspiratorami tej agresywnej polityki byli monopoliści, poszukujący rynków zbytu i źródeł surowców. Jej organizatorami i realizatorami zaś — politycy, ministrowie i generałowie. W rezultacie w czasie jednej tylko agresywnej wojny przeciwko Republice Meksyku rząd USA zagrabił szereg prowincji meksykańskich, jak: Florida, Texas, Oregon Kalifornia i inne.



Postępowe masy narodu niemieckiego w walce o Pokój i Jedność Niemiec

Również i druga połowa XIX wieku zapisana została w historii imperializmu amerykańskiego nie mniej krwawym pasmem interwencji zbrojnych oraz wojen, prowadzonych przeciwko republikom Ameryki Łacińskiej: Venezueli, Nikaragui, Santo Domingo, Kubie, Dominice i Kolumbii. W roku 1898 ten długi okres krwawych podbojów, grabieży i wyniszczania słabszych, sąsiadujących z USA narodów zakończony został agresywną wojną przeciwko Hiszpanii, przypieczętowaną przez aneksję wysp Filipińskich, Puerto-Ricco, Guam i innych.

W tym właśnie okresie „teoretyk" wczesnego imperializmu USA senator Beveridge pisał:

„Bóg tak stworzył Amerykanów, aby mogli ujarzmiać dzikie i słabsze narody... Handel światowy zostanie opanowany przez USA. Powinniśmy więc rozbudować na całym świecie bazy wojenne zabezpieczające nasz handel, strzegące nasz sztandar, rozpowszechniające nasz styl życia. Amerykańskie obyczaje, amerykańska cywilizacja, amerykański ustrój muszą zapanować na całym świecie".

Realizując te **„wzniosłe"** hasła Departament Stanu i Ministerstwo Wojny USA nie cofały się przed żadnym oszustwem lub przekupstwem oraz akcją terrorystyczną dla urzeczywistnienia swych zbrodniczych zamierzeń.

Oto jeden z wielu przykładów:

W roku 1909 rząd republiki Nikaragua ośmielił sprzeciwić się i nie oddał do dyspozycji USA żądanych portów. Wówczas agenci Wall Streetu, przy pomocy kilku zdrajców — przekupionych „rewolucjonistów", spowodowali bunt. Gdy bunt został zdławiony, Stany Zjednoczone, wykorzystując jako pretekst egzekucję dwóch bandytów, którzy planowali wysadzenie w powietrze okrętu nikaraguańskiego, wysłały swe wojska do Nikaragui i oddały władzę „rewolucjonistom".

Następnym etapem było narzucanie temu krajowi lichwiarskich pożyczek, udzielanych za pośrednictwem banku „Brown Brothers and Company" (począwszy od 1931 roku jednym z jego właścicieli został osławiony podżegacz wojenny Harriman). Gdy w roku 1912 nieszczęsna ludność usiłowała sprzeciwić się przyjęciu tych pożyczek, siły zbrojne USA znów wtargnęły do Nikaragui. Pod wpływem „perswazji" amerykańskiej piechoty morskiej, która okupowała republikę, przeprowadzono „wybory na modłę amerykańską"; w wyniku czego na czele państwa stanął rząd posłuszny Stanom Zjednoczonym.

*

Po I wojnie światowej koła finansowe Wall Streetu nie zeszły ze zbrodniczej drogi agresji, wspomagając politycznie, a co ważniejsze finansując niedobitych militarystów, junkrów i monopolistów niemieckich. W roku 1922 jeden z wyższych oficerów USA, przebywający służbowo w Niemczech, pisał:

„Europa Zachodnia powinna zgodzić się na ekspansję niemiecką na Wschód, gdyż tylko w ten sposób można spowodować konflikt zbrojny z Rosją, co przecież osłabi znacznie napór niemiecki na Zachód[1])".

Powyższa wypowiedź ujawniła zaledwie cząstkę tych knowań i systematycznych prowokacji politycznych, które koła rządzące w USA stosowały po pierwszej wojnie światowej. Celem tej systematycznie i planowo urzeczywistnianej polityki podżegania do wojny miało być uczynienie z Niemiec głównej bazy agresji przeciwko ZSRR.

*

Powiązania hitlerowsko - niemieckie przetrwały próbę II wojny światowej. Amerykański trust naftowy Standard Oil i wszechpotężny koncern niemiecki I.G. Farben dochowały sobie wzajemnej wierności, strzegąc przed własnymi rządami tajemnicy patentów i zagarniając ogromne zyski na dostawach wojennych dla obu walczących przeciwko sobie stron.

Jeden z głównych agentów wywiadu USA, rezydujący w czasie wojny w Szwajcarii — Allen Dulles (brat John Foster Dullesa) pertraktował w 1943 roku z przedstawicielem Hitlera księciem von Hohenloe w sprawie separatystycznego pokoju. Tego rodzaju rozmowy miały zresztą miejsce kilkakrotnie już przed tym (np. w 1941 roku w Lisbonie—Portugalia).

Wszystkim tym poczynaniom przyświecał przecież zawsze jeden i ten sam cel: chęć stworzenia wspólnego frontu międzynarodowych sił i imperializmu przeciwko ZSRR.

*

Trusty amerykańskie wyszły z II wojny światowej z olbrzymimi zyskami, sięgającymi sumy 53 mlrd. dolarów Ich udział w produkcji przemysłowej (kapitalistycznej części świata) wzrósł z 47 proc. (w roku 1938) do 60 proc. (w roku 1949). Monopoliści Wall Streetu uzyskali bezwzględną przewagę we wszystkich dziedzinach gospodarki nad krajami kapitalistycznego świata.

Lecz właśnie to niesłychane wzbogacenie, uzyskane kosztem milionów ofiar ludzkich, ta olbrzymia koncentracja przemysłu i centralizacja banków na skalę nieznaną dotychczas w historii świata, zwiększyły niebezpieczeństwo katastrofy, przyśpieszyły możliwość kryzysu gospodarczego. Rozdęta na krajowych i zagranicznych dostawach wojennych (osławiony Lend and Lease) machina ciężkiego przemysłu USA poczuła się zagrożona w swym istnieniu przez nagły „wybuch" pokoju.

Nie będąc w stanie przestawić się na produkcję pokojową finansjera amerykańska zadrżała o swoje wojenne superzyski, dostrzegła możliwość upadku, załamania całych gałęzi przemysłu wojennego, (którego inwestycje pochłonęły wiele miliardów dolarów), zaobserwowała oznaki spadającego popytu i obniżającej się konsumcji, przestraszyła się widma nieuchronnego wielomilionowego bezrobocia. Na przełomie lat 1946/1947 groźba kryzysu zawisła bowiem nad gospodarką USA.

Dla imperializmu USA istniało jednak tylko jedno wyjście: kontynuowanie produkcji wojennej; jeszcze większe wzmożenie tempa wyścigu zbrojeń; dalsze prowokowanie konfliktów zbrojnych i wreszcie przygotowanie i rozpętanie nowej III wojny światowej.

Prezydent USA Harry Truman osobiście, w jak najbardziej wyraźnej formie sformułował w 1948 roku takie właśnie wytyczne powojennej polityki USA, mówiąc:

„Jeśliby międzynarodowe napięcie zostało rozładowane, to kraj nasz zostałby wystawiony na ciężką próbę: czy przemysł i banki nasze potrafiłyby przystosować szybko ceny i koszty produkcyjne, aby uchronić przed załamaniem naszą produkcję i stan zatrudnienia[2])".

A więc prowokowanie międzynarodowego naprężenia — stało się jedynym celem dla nienasyconych, żądnych zysków monopolów amerykańskich. Dlatego też polityka powojenna rządu USA została ściśle uzgodniona z wytycznymi otrzymanymi od władców Wall Streetu.

Dla całkowitego zaś zabezpieczenia swych interesów monopoliści USA doprowadzili do ścisłego powiązania personalnego między aparatem rządowym, a amerykańską oligarchią finansową. Dyrektorzy wielkich banków i trustów przemysłowych **„zostali oddani do dyspozycji państwa"**, bądź jako sekretarze stanu, bądź jako doradcy polityczni i finansowi, lub też przewodniczący komisji gospodarczych, politycznych itd., itp. I odwrotnie. Najbardziej reakcyjni generałowie zostali mianowani dyrektorami wielkich banków, członkami rad nadzorczych, trustów przemysłowych, linii lotniczych, towarzystw żeglugi morskiej itd.

Oto jeden z wielu przykładów tych międzynarodowych powiązań państwowo - monopolistycznego kapitału USA.

Potężny bank amerykański Dillon, Read and Co w latach 1923 — 1939 służył jako główny pośrednik i kanał w przekazywaniu kredytów bankom hitlerowskich Niemiec. Prezesem tego banku, ściśle związanego z niemieckim koncernem śmierci I. G. Farben, był osławiony samobójca James Forrestal, sekretarz wojny USA w latach 1947 — 1949. Wiceprezes banku Dillon, Read and Co — William Draper, generał „czasu wojennego", był początkowo kierownikiem Oddziału gospodarczego zarządu wojskowego USA w Niemczech, a później wicesekretarzem wojny USA. To właśnie William Draper storpedował plany dekartelizacji ciężkiego przemysłu w Niemczech Zachodnich. To właśnie on (już z Waszyngtonu) inspirował i kierował prowokacjami generała Clay'a (również wielkiego przemysłowa) w zatargu berlińskim...

*

Logiczną konsekwencją tych zbrodniczych, zmierzających do rozpętania III wojny światowej, poczynań są wspomniane na wstępie posunięcia polityczne rządu USA, obserwowane na przestrzeni ostatnich miesięcy i lat Zrozumiałe więc jest, dlaczego koła rządzące w USA nie tylko nie dążą do demokratyzacji Japonii lub zjednoczenia Niemiec, lecz odwrotnie, usiłują za wszelką cenę uczynić z nich bazy wypadowe planowanej przeciwko ZSRR agresji. Poszczególne etapy tej zbrodniczej polityki rządu USA są nader łatwe do rozszyfrowania. Są to: osławiona doktryna Trumana, plan Marshalla, sprawa Berlińska (i most powietrzny), 4 punkt Trumana, agresja w Korei, separatystyczny pokój i pakt z rządem Joszidy w Japonii, a wreszcie ostatnio wspomniane już konferencje w Waszyngtonie i Ottawie.

Tak pieczołowicie wypracowana strategia agresji posiada jednak zasadniczy brak. Nie uwzględnia woli ludów świata.

A ludy świata mówią imperialistom: **NIE!**

K. R. Zawadzki

---

1) Albert Norden. So werden Kriege gemacht. Uber Hintergrunde und Technik der Agression. Dietz Verlag Berlin 1950, str. 48.

2) Ibidem str. 49

... wielka przyjaźń Chińskiej Rebubliki Ludowej i Związku Radzieckiego — trwała gwarancja pokoju i bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie.

STALIN

DEREK KARTUN

NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Korespondencja własna „Wsi"

Niedawno pismo radzieckie „Nowe Czasy" słusznie oceniło sytuację na Środkowym Wschodzie przed zabójstwem w dn. 1 III. br. premiera Iranu i agenta brytyjskiego gen. Razmary jako względną równowagę sił między rywalizującymi ze sobą interesami naftowymi Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Warto być może powiedzieć parę słów jak doszło do tej — co prawda bardzo wątpliwej — równowagi.

Znamienny jest fakt, że do 1933 roku żadnemu amerykańskiemu towarzystwu naftowemu nie udało się wtargnąć na obszary naftowe Środkowego Wschodu, gdzie znajduje się 42 proc. światowych rezerw naftowych. Od początku naszego stulecia, kiedy Wielka Brytania rozpoczęła eksploatację pól naftowych na Środkowym Wschodzie, wychodziła ona zawsze zwycięsko z walki ze swym amerykańskim rywalem.

Jednakże w 1933 roku potężne amerykańskie towarzystwo naftowe „US Mellon" otworzyło filię w Kanadzie (dominium brytyjskie) która z kolei podpisała umowę z władcą wyspy Bahrein w Zatoce Perskiej o eksploatację bogatych rezerw naftowych tej wyspy. Podstęp ten był konieczny, ponieważ władca wyspy Behrein na mocy układu z Wielką Brytanią nie miał prawa udzielać koncesji firmie niebrytyjskiej, a Kanada była przecież terytorium brytyjskim

Taki był początek, po którym amerykański przemysł naftowy wszelkimi możliwymi sposobami torował sobie drogę do środkowowschodnich terenów naftowych. Największym sukcesem na tym polu było zdobycie wyłącznej koncesji w Arabii Saudyjskiej, gdzie eksploatacja wielkich pól naftowych idzie szybko naprzód pod zarządem Arabian - American Oil Company. (ARAMCO). Amerykanie ulokowali się również na brytyjskich terenach naftowych w Iraku, gdzie „Standard Oil" i „Socony Vacuum" mają w ręku 23 proc. wydobycia ropy naftowej. W Syrii, której tereny naftowe znajdowały się do roku 1940 pod kontrolą brytyjską, dominuje obecnie Syrian - American Oil Company. Tereny naftowe w Kuwait w Zatoce Perskiej, których eksploatacja rozwija się najszybciej na Środkowym Wschodzie, należą pół na pół do „Anglo - Iranian Oil Company" i do „US Gulf Oil Company". Na innych, mniej ważnych terenach naftowych, zdołali Amerykanie w ostatnich latach zwiększyć w podobny sposób swój stan posiadania.

Ilustracją tego procesu służyć może fakt, że w obecnej chwili toczy się w Paryżu przed specjalnym trybunałem proces mający wielkie znaczenie. Pewne brytyjskie towarzystwo naftowe, popierane przez rząd brytyjski, wystąpiło przeciwko szeikowi Omanu, kwestionując jego prawa do udzielenia firmie amerykańskiej koncesji na eksploatację źródeł nafty, położonych na dnie morza przy wybrzeżu Omanu. Oman jest terenem pustynnym wzdłuż Zatoki Perskiej i znajduje się pod kontrolą Wielkiej Brytanii. Do nafty tej rości sobie prawo brytyjskie towarzystwo „Iraq Petroleum Company", Amerykanie ofiarowują jednakże lepsze warunki i stąd proces, typowy dla rywalizacji interesów naftowych na Środkowym Wschodzie.

Równie znamienna jest ostatnia wizyta w Londynie ministra spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej — kraju znajdującego się pod całkowitą kontrolą Stanów Zjednoczonych. Celem jego wizyty było załatwienie dwóch spraw: rewizja granic Omanu na korzyść Arabii Saudyjskiej i uzyskanie praw do szeregu małych wysepek i ławic położonych w Zatoce Perskiej przy wybrzeżu Arabii. Na wysepkach tych mają się jakoby znajdować źródła nafty. W istocie jednak minister spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej występował, jako rzecznik „Arabian - American Oil Company", a jego wizyta była tylko fragmentem toczącej się na Środkowym Wschodzie walki o naftę.

Wysokość kapitału amerykańskiego inwestowanego na Środkowym Wschodzie jest olbrzymia i stale wzrasta. Rząd amerykański i firmy prywatne ulokowały na tych terenach od 1945 roku ponad miliard dolarów. Zainteresowane amerykańskie firmy naftowe reprezentują kapitały sięgające sumy 12 miliardów dolarów. Równolegle do infiltracji naftowej odbywa się ogólna infiltracja gospodarcza, a także polityczna i wojskowa.

Aby w pełni zrozumieć, jakie skutki mieć będzie w światowej walce o naftę wstrzymanie eksploatacji irańskich pól naftowych i rafinerii, należy dodać jeszcze kilka cyfr.

Państwa kapitalistyczne produkują rocznie nieco ponad 550 milionów ton ropy naftowej. Przeszło połowę tej ilości przypada na Stany Zjednoczone, które mimo to są wielkim importerem ropy naftowej, ponieważ starają się magazynować swe własne rezerwy na cele wojenne. Importują więc z jedynie dostępnych im innych wielkich terenów naftowych: z Venezueli w Ameryce Południowej i ze Środkowego Wschodu. Zobaczmy jak wygląda roczna produkcja tych krajów:

Venezuela (pod kontrolą amerykańską) 70 milionów ton
Arabia Saudyjska (pod kontrolą amerykańską) 24 miliony ton
Iran (pod kontrolą brytyjską) 32 miliony ton
Kuwait (wspólna kontrola anglo - ameryk.) 12 milionów ton
Irak (gł. pod kontr. bryt. częśc. amerykańską) 6 milion. ton
Bahrein (pod kontrolą amerykańską) 2 miliony ton
Razem 146 milionów ton

Obecnie Wielka Brytania pozbawiona jest nafty irańskiej i musi szukać jej gdzie indziej. Jednakże, jak wynika z powyższego zestawienia znaleźć ją może tylko na takich terenach, gdzie wskutek kontroli amerykańskiej, płacić musi za nią dolarami. A więc utrata nafty irańskiej kosztowałaby Wielką Brytanię około 400 milionów dolarów rocznie, co nadwyrężyło by mocno brytyjskie rezerwy dolarowe. Ponadto Wielka Brytania musiałaby uznać za stracone swoje inwestycje w Iranie, które w ciągu ostatnich trzech lat przyniosły dochód w wysokości 142 milionów funtów szterlingów.

Spośród wspomnianych terenów naftowych najszybciej rozwijają się przedsiębiorstwa naftowe w Kuwait i w Arabii Saudyjskiej. Naftę z tych właśnie źródeł Amerykanie zamierzają zastąpić naftą irańską i należy zaznaczyć, że jeśli chodzi o świat imperialistyczny utrata nafty irańskiej nie jest ciosem śmiertelnym. Nie jest nim tak samo utrata olbrzymiej rafinerii w Abadanie. Jedno z amerykańskich przedsiębiorstw naftowych zakończyło niedawno budowę nowej rafinerii w Fawley, w Wielkiej Brytanii, i buduje nowe rafinerie w Austrii, Francji, Danii, Holandii i Australii.

Mocarstwa imperialistyczne zaniepokojone są wydarzeniami w Iranie głównie z innego powodu. Obawiają się, że za przykładem Iranu pójść mogą uciskane i coraz bardziej bojowe masy ludowe całego Środkowego Wschodu. Dotychczas Środkowy Wschód był rajem dla imperialistycznych eksploatatorów. O ile chodzi o naftę, wystarczy porównać koszty produkcji w krajach Środkowego Wschodu i w Venezueli, w kraju również półkolonialnym i brutalnie eksploatowanym, o bardzo niskiej stopie życiowej ludności. A więc w roku 1947 koszty produkcji baryłki ropy naftowej w Venezueli wynosiły 68 centów, natomiast na Środkowym Wschodzie tylko 24 centy. Przy czym w Venezueli od każdej baryłki trzeba płacić rządowi 86 centów w podatkach i innych opłatach, zaś na Środkowym Wschodzie tylko 15 do 35 centów (w zależności od kraju).

Cena venezuelskiej ropy naftowej jest na rynku światowym taka sama, jak cena ropy środkowowschodniej. Tym samym więc Środkowy Wschód jest jednym z najbardziej rentownych terenów dla inwestycji, inaczej mówiąc dla najbardziej bezwzględnej w historii handlu eksploatacji. Dlatego też Amerykanie lokują tam swe kapitały i eksploatują nowe źródła, jak mogą najszybciej. Z tego samego też powodu prowadzą oni zażartą walkę o naftę z Wielką Brytanią.

Nie ulega wątpliwości, że Amerykanom na rękę jest porażka Wielkiej Brytanii w Iranie. Jednakże tylko do pewnego stopnia. Bowiem klęska imperializmu brytyjskiego, jest klęską dla całego systemu imperialistycznego, a na dłuższą metę zagraża ona również interesom amerykańskim. Amerykanie doskonale to rozumieją i dlatego pragnęliby, aby doszło do porozumienia między Wielką Brytanią i Iranem. Oczywiście chodzi im o porozumienie, które jednocześnie wzmocniłoby pozycję Stanów Zjednoczonych na Środkowym Wschodzie. Jednakże w tej chwili wszystko wskazuje na to, że główną ich troską jest zahamowanie masowego ruchu, na którego czele stoi bohaterska partia Tudeh i zachowanie Iranu jako terenu dla dalszej eksploatacji i jako ważnej bazy dla całego obozu imperialistycznego w jego przygotowaniach do wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Z tego wszystkiego wynika niezbicie, że w anglo - amerykańskiej polityce na Dalekim Wschodzie istnieją głębokie rozbieżności i że „sojusz" anglo - amerykański podważają coraz bardziej pogłębiające się tarcia. Tak samo prawdą jest, że akcja mas na Środkowym Wschodzie zwiększa te tarcia i utrudnia realizację planów wojennych obozu imperialistycznego. Tym samym bohaterskie narody Iranu i innych krajów walczą nie tylko o niezależność narodową i podniesienie swej stopy życiowej— walką swą zadają poważne ciosy całemu obozowi imperialistycznemu, przyczyniają się do obrony pokoju światowego.

Derek Kartun

AI-CZING.

W OBRONIE POKOJU

(Fragment poematu)

Dzisiaj obudziłem się o świcie,
Słyszałem odległe głosy ptaków,
Wstałem z łóżka i otworzyłem okno,
Ale nie zobaczyłem ptaków — widziałem tylko
Złocisty promień, który przebijał się
Przez liście rozkwitających akacji,
Pochylające się przede mną jak liany
Kołysane lekkim powiewem wiatru.

I wtedy właśnie za kamiennym ogrodzeniem,
W domu, gdzie na świat przychodzą ludzie,
W domu jasnym, i wysokim
Rozległ się słaby płacz dziecka.
Słyszeliście? — To głos nowego życia
Przyszedł na ten wiosenny świat.

Rodził się poranek. W cichym zaułku
Pracował dozorca wymiatając śmiecie.
Uczniowie beztroską gromadą
Z teczkami, torbami w rękach
Szli do pobliskiej szkoły.
Chłop. powoli kroczyli na targ
Popychając drewniane wózki
Wypełnione wiosenną zielenią —
Jeszcze rosa nie wyschła na niej.
Na telegraficznych słupach
Połyskiwały izolatory,
Niby białe jak śnieg,
Zawieszone pod lazurowym niebem
Kwiaty jaśminu.
Nieustanne gwizdki fabrycznych syren
Przekrzykiwały się radośnie,
A za odległą zielenią topól,
Gdzie wznosiły się kominy fabryczne
Walił gęsty, czarny dym
Podobny do końskich grzyw.
Samochody pędziły ulicą
Jak niepowstrzymany górski potok.
I zdawało się, że ktoś uderzył
w klawisze niezliczonych fortepianów
I dźwięki nie dające się z niczym porównać
Rosły jak burza i łączyły się
W potężną symfonię pracy.



II

Oto widzicie oswobodzone miasto,
Miasto, w którym nie ma już wrogów.
Nasze miasto, które cierpiało w niewoli,
Nasze miasto niegdyś hańbione.
Nasze miasto podobne do ciała
Człowieka niedawno poranionego,
Kłami i pazurami dzikich zwierząt
Dzisiaj leczy rany.
Klasa robotnicza daje nam życie
Bo przepełniona jest
gorącym uczuciem tworzenia,
To ona pracuje pod ziemią
Żeby znów działał wodociąg,
To ona nie znając odpoczynku
Dniem i nocą spaja tramwajowe szyny,
To ona pracuje na pustkowiach —
I tam na stosach kamiennych ruin,
Na stosach gruzów i zgliszcz
Wyrastają przestronne domy.

I jeżeli wyjedziecie z mego miasta
To na obszarach nowych Chin,
We wszystkich niezliczonych wioskach
We wszystkich wyzwolonych miastach
Zobaczycie, jak setki tysięcy rąk
Pracują z uporem lecz spokojnie,
To pragnienie życia naszego narodu,
Owoce ciężkiej walki stuleci,
w której surowych bitwach zwyciężyliśmy
Zdobywając teraz upragniony świat.

Ale ten świat nie jest taki,
Jaki można wyprosić na klęczkach,
Nie taki, jakim nas obdarza Bóg z nieba,
Nie taki, w którym są wolne
Tylko gołębie w swoim locie.
Ten świat jest inny,
Został zdobyty w wiekowej walce
Wielkiego chińskiego narodu
Za ten świat przelaliśmy w bojach —
Mówię dosłownie — rzeki krwi,
Lecz osiągając upragnione zwycięstwo
Obroniliśmy miliony istnień.

I tylko nasz naród,
który taką cenę zapłacił za pokój
Zna pełną jego wartość —
Jak ci, co po niekończącej się nocy
Zmęczeni przerażającym koszmarem
Umieją ocenić nadejście świtu,
I złoty, spokojny promień jutrzenki.

Tłum. ANDRZEJ JASIŃSKI



W dniu 1 października naród Mao Tse-tunga obchodził święto narodowe (rocznica proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej)

Foto CAF

JUAŃ TSJUŃ

DO KOREAŃSKICH BRACI

W armii Mao Tse-tunga narodowi służę —
Strzegąc granic. Noc ciemna gwiazdami dziś świeci.
Huczy wicher i fale w zatoce się burzą;
Uderzają gwałtownie, jak serce w mej piersi.

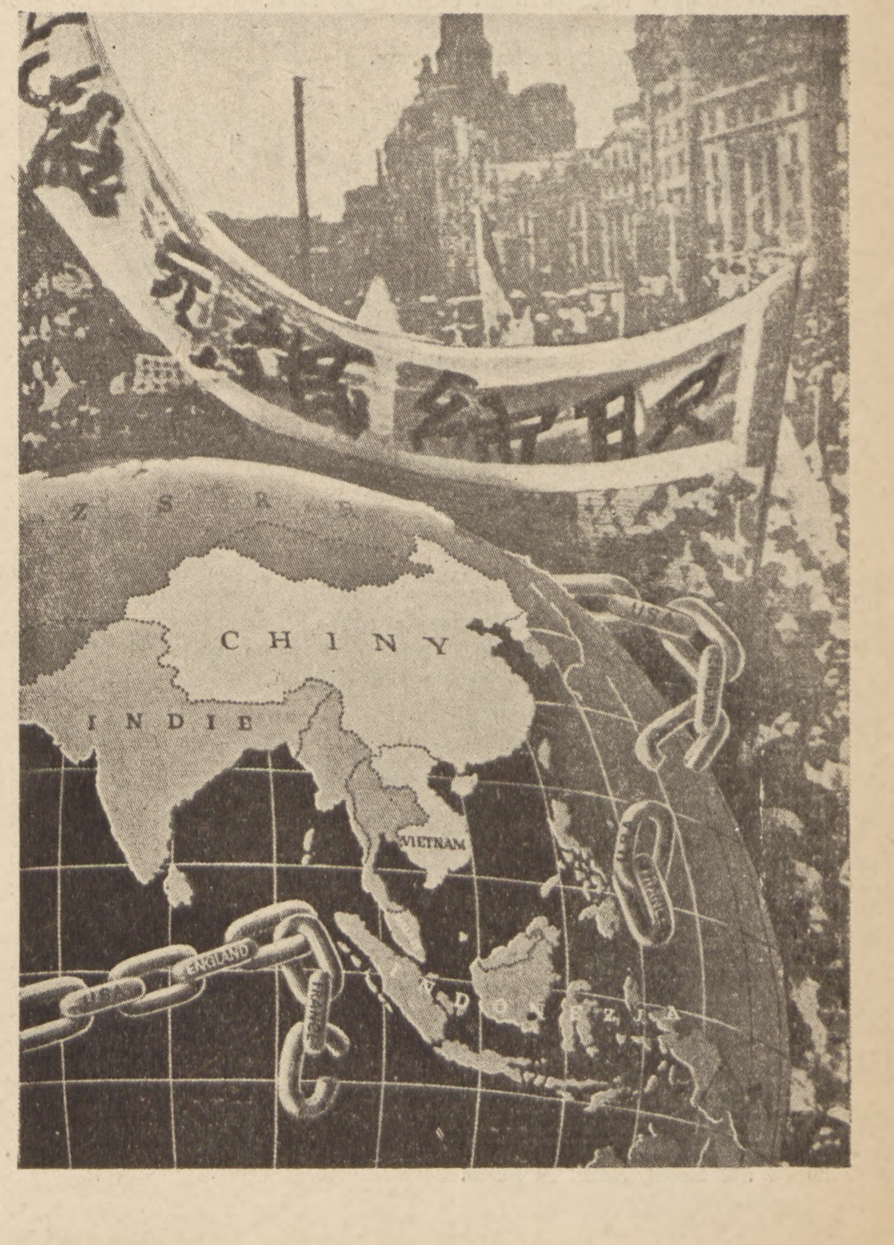
Widzę: gwiazdy nad ziemią Korei zabłysły —
Noc — lecz walkę o wolność jej podjął już naród.
W boju krwawi armia, by palce zacisnąć,
Zdławić wroga w śmiertelnym uścisku za gardło.

Widzę —
Jakbym marsz pułków Kim Ir Sena dostrzegał —
Jak zwycięsko prowadzi przez kraj bohaterów,
I płonące bombowce Trumana — jak we mgle,
Czołgi lisynmanowskie, całą broń pancerną.

Pozdrawiamy was, wolnej Korei synowie!
My, żołnierze, jak bracia — łączymy się z wami.
Wszędzie jedna na świecie najeźdźcom odpowiedź!
Walcząc dzisiaj idziecie naszymi drogami.

W armii Mao Tse-tunga narodowi służę.
Strzegę granic przed wrogą napaścią, ruiną...
Huczy wicher i fale w zatoce się burzą.
W nich zwycięski marsz pułków swe skrzydła rozwinął.

Tłum. ZYGFRYD SAWKO.



LESŁAW M. BARTELSKI

POWRÓT EURYDYKI?

„Zostanę ja i ogień i moja samotność"
K. Baczyński.

Nie spotkałem jej w chwili,
kiedy wznosiła dłoń jak gwiazdę zamkniętą w oku,
kiedy usta miała jak pleśń,
zaciśnięte i małe.

Nikt nie potrafił jej znaleźć,
imiona drżały na wietrze,
pył z wapna zasypał gardła
i jak deszcz sypał w przestrzeń.

Nie spotkałem jej w chwili,
kiedy szukano zmarłych.
Myślałem, że piekło jest zapomnieniem,
życie — poszukiwaniem barwy.

I oto, nie ma ciebie, Eurydyko,
mała kochanko poety,
który wplecioną w mirt,
lirę strzaskał na murach
wypalonego miasta.

Gdy się otwiera wizja skąpa
na ostrzu powiek jak na lotkach
powstaje dom niesiony w górę
jak łuk rośliny nad ruiną.

Dziesięciu niesie sen na mieczach,
piętnastu klucze ciężkich więzień,
miliony pragną demokracji,
pokoju i sprawiedliwości.

Dekarz nad domem dach pokrywa,
nam, przywróconym znów do życia,
dach był dziurawy jest miedziany
jak księżyc ponad obłokami.

Słowo poety jak gałązka,
wskazuje otchłań albo szczyty,
rozpacz przemija, ból ustaje,
ginie twój obraz, Eurydyko!

I ciebie znów bym przywrócił życiu,
Eurydyko strzaskana pod murami,
z których dziś robotnicy gruz odrzucają —
zwietrzałe cegły, ciemny beton.

I ciebie bym odnalazł na nowo, Eurydyko,
ale się strzeżmy powracać w przeszłość,
chociaż trudno zapomnieć poetom
snów przepalonych miłością.

Gwizd fabryk ponad ciszą,
które uspokajają,
rząd nowych domów, pełny ludzi,
płynność ruchów kosiarzy w miejskim parku —
nic ciebie, Eurydyko, nie zbudzi,
ani śmiech płynący z rusztowań,
ani traktorów warkot
na polach, z których pszenica i rzepak.
Oto idziesz, żałobna i obca,
pośród życia, które jest siłą,
marzeń, które zmieniamy w życie
odnalezione jak miłość.

Gwizd fabryk ponad ciszą
mówi o rzeczach niepowrotnych,
strzeż się szalonych, Eurydyko,
wątpiących i samotnych.

1943—1950

DOŚWIADCZENIE

Wyznawałem słowa i myśli proste,
zdawało by się — wyniesione z życia,
śmierć zacierała mi świata granice,
płacz dzieci przywracał noc,
matko, matko.

Myśli moje gniły jak uczucia,
serce stygło krwią zaginionych,
obozy, dymy nad miastami, popioły,
ranni wołali, przemykając oczy —
matko, matko.

Gdy idziemy naprzeciw życiu
w planach naszych biegi odwracając rzek,
wyznajemy prawdę wielkości
w nadziei, którą człowiek niesie.

1950

MIŁOŚĆ

Obdarzonym wyobraźnią nie trzeba wiele,
a jednak muszą mówić o ziemi.
Z niej jesteśmy i ona nas niesie,
jak rzeka dymiąca popiołem, wąską łódź.
Los nas od niej nie oddali, gdzie indziej nie rzuci,
W niej nasza tęsknota, serce i mózg.

Niedoświadczonym z dna ciemności
oczy świt wyprowadza ku słońcu,
krzyk nadziei jak cięcie nożem,
krzyk rozpaczy zdławiony bólem.
Kochać tę ziemię za mało rozpaczą,
trzeba jej ulec!

Wszyscy o niej mówimy — o ziemi,
nawet gdy wzrok podnosimy wzwyż.
I nie złamie nas ogień, nosimy w sobie wytrwałość
jak mury skruszałe wiatrem i deszczami,
bo nam wciąż ziemi za mało,
bo nam za mało miłości.

Dlatego skoro świt, gdy pierwsze koguty
noc przełamują rannym pianiem,
nam trzeba iść przed siebie, wprost
ku ogrodom, pełnym warzyw i owoców,
gdzie ludzie pochyleni w pracy,
gdzie kobiety ciężarne noszą płód z nadzieją,
że syn nie zginie na wojnie, będzie inżynierem,
gdzie miasta nowe pośród czarnych gruzów
i kasztan na drodze zeschły jak robaczek,
gdzie dniem płoną huty i nocą,
a opodal dzieci bawią się na trawie
i niebo przebija drzew rozrosłych zieleń.

Nam nie potrzeba wiele,
ale ziemi, ziemi za mało!

MARCELINA GRABOWSKA

Rys. Stefan Gierowski

R O D Z I N A *)

Adam Jędraszek, „młodociany" robotnik w przędzalni i uczeń SPP, zaniedbał się z kretesem w nauce. Dwój — nie wiedział sam — ile. Najgorsze: rok szkolny się kończył, a on w ogóle przestał chodzić do szkoły. Do pracy w fabryce — owszem, ani jednego nawet spóźnienia — temu zawdzięczał, że długo mu się udawała szkolna bumlerka. W końcu jednak nadeszła do personalnego skarga, dowiedziano się o wszystkim. Groziło mu: wylanie z posady i ze szkoły. Ponieważ był członkiem ZMP — Zarząd Fabryczny postanowił zająć się jego sprawą i wezwał go na zebranie.

Siedział na krześle zgarbiony i patrzył orzechowymi oczyma na przewodniczącego. Rząca starał się dojść, co się za tymi oczyma kryje, aby rzecz rozstrzygnąć jak należy. Ale nie znalazł w nich ani myśli, ani żalu. Raczej dziecinny lęk: co wy ze mną zrobicie?

— To żaden sąd — powiedział do chłopca. — Nie masz rodziny, a jesteś nasz. Chcemy wiedzieć, co z tobą zrobić.

Jędraszek nie zmienił pozycji, ani wyrazu twarzy. Wiedzieć? Będzie jak postanowią. Czy on kieruje swoim losem?

Z rozmaitych stron zaczęły padać pytania. Jędraszek odpowiadał naiwnie — szczerze, za każdym razem — odpowiadając — zwracał się całym ciałem do pytającego. Ale i tak nic nie wychodziło.

Dlaczego nie chodził do szkoły?

Koledzy namówili. Bardzo lubi grać w piłkę nożną. Nie sądził, aby się przez to coś zepsuło. I tak nic nie umiał, niczego się nie mógł nauczyć. Swój zawód lubi, a książek — nie.

— Nieuczciwie myślisz, całkiem źle myślisz — tłumaczyła Pawlakówna. Państwo na ciebie łoży, obciążasz budżet fabryczny, a tracisz czas na piłkę.

— Przecie w fabryce pracowałem.

— Ale fabryka płaci ci pełne uposażenie, a ty pracowałeś tylko trzy dni. Chodzenie do szkoły — to także płatna praca. Nie chodziłeś— całkiem jakbyś kradł. Jakbyś nas wszystkich okradał.

Opuścił głowę, włosy spadły i gęstą zasłoną przesłoniły twarz. Milczeli i spoglądali po sobie w niepewności. Czekali, aż się sam odezwie.

— Kiedy ja się nie mogę uczyć! Niech będzie sześć dni pracy. Niech będzie Lubię swój zawód i na pewno się wyuczę. A szkoły nie znoszę.

W kółko to samo. Nie rozumie, że w fabryce nie nauczy się tego, co w szkole. Jeśli lubisz swój zawód trzeba, abyś go gruntownie poznał. Co za lubienie? Po prostu ciągnie majstrowanie, a myśleć się nie chce.

— I co się z tobą stanie? — biadolił Rząca. — Wyleją, a ty u obcych mieszkasz, nie masz żadnej rodziny. Fachu jeszcze dobrze nie znasz, całkiem się wykoleisz...

Chłopiec patrzył pokornymi oczyma. Czekał na jakąś wskazówkę, a Rzącę już ponosiło. Na wszystko się ten łamaga zgodzi i wszystko obieca, czego się od niego zażąda. A potem — widać to po nim — i tak nic nie dotrzyma. Poza tym straconego na pewno nie odrobi.

— Naradzimy się jeszcze. Zgłoś się za dwa dni.

Chłopiec się skłonił. — Dziękuję. Przepraszam. — Zwrócił się szybko ku drzwiom. Na młodziutkiej, szczerej twarzy zadowolenie. Na dwa dni spokój. Nie będą męczyć.

Ale przy samych drzwiach: — Przepraszam. Tymczasem z fabryki wyleją. Wypłaty nie będzie. I gospodyni jeść nie da.

Stał zakłopotany, wyraźnie przykro mu było, że szanownemu zgromadzeniu zabiera czas tymi swoimi — dla niego samego nudnymi — sprawami. Ale do kogo się zwrócić?

Rząca rozgniewał się na niego. — Dawniej nikogo by nie obchodziło, że taki jak ty nie ma co jeść. Lepsi od ciebie głodowali i nikt się nie liczył z ich pretensjami. Narobiłeś bigosu, wysil się: sam zjedz. Co ty myślisz?! ZMP jest od tego, aby nierobów bronić i utrzymywać?!

Jędraszek się stropił. Powiedział raz jeszcze swoje: przepraszam. Ale szedł ku drzwiom dużo wolniej, niż przedtem.

— No i co wy? — Głos z obcym, śpiewnym akcentem zatrzymał Jędraszka, zwrócił wszystkie głowy w jedną stronę. W kącie, ukryta za innymi siedziała Ulana Dąbrowiecka, milczała dotychczas, zapomniano, że ją zaproszono. — I z czym chłopiec pójdzie? Do kolektywu ze swoją sprawą przyszedł. Nie może odejść taki jak przyszedł.

Chłopiec zwrócił na nią oczy — nieobojętne już i niebezmyślne.

— Czemuś wstąpił do ZMP?

Oczy Jędraszka zgasły. Na twarzy odbił się zawód i zniechęcenie. Co to? Egzamin? Poruszył go ciepły ton, z jakim się odezwała, a teraz pytanie zdusiło nadzieję. I ona nie pomoże. Każdy by tylko męczył, ciekawość swoją zaspokajał A tymczasem on sam niewiele wie o sobie.

— Czemu nie odpowiadasz? — zawołał zniecierpliwiony Rząca. — Nawet nie raczysz odpowiedzieć.

Chciał coś dodać, ale Dąbrowska przerwała: — Zaraz... A może on nie wie. Nie jego przecie wina, że nie wie.

Chłopiec drgnął. Podszedł bliżej do pytającej, jakby u niej szukał osłony. Nie odwracał już od niej oczu. Zrozumiał, że tu dla niego oparcie.



— A czy ty wiesz, co to ZMP? Nie? Koledzy się zapisali, więc i ty... co? — Nie odpowiadał, bo czytała w nim odpowiedź bez zbytecznych słów. Tak było. Prawda. Prawda.

— A legitymację masz?

Sięgnął skwapliwie do kieszeni, wyciągnął ku niej brudny, zniszczony karton.

— Popatrz jak ona wygląda, ta twoja legitymacja. A to przecie równocześnie twoja metryka. Rodzinę ci daje. Umarła twoja matka i ojciec nie żyje, a ta legitymacja daje ci ojca i matkę i więcej jeszcze, bo twoja nowa rodzina nie podlega śmierci.

Chłopiec zrobił znowu krok naprzód i nagle odsunęli się ci, którzy siedzieli między nim, a Dąbrowiecką. On ich zresztą i tak nie widział.

— A nie wiesz ty, że taką legitymację w sercu się nosi, nie w kieszeni? Nie wiesz, nie wiedziałeś, a trzeba to koniecznie zrozumić. Za łatwo przyszło, myślałeś: nie ma co szanować.

I nagle chłopak się rozpłakał. Włożył palce w usta, tłumił łkanie, ale płacz targał nim, wyrywał się na powierzchnię — ani rusz stłumić.

Dąbrowiecka już na niego nie patrzyła, zwróciła się do zebranych.

— Ja prawa tu żadnego nie mam, gościem tylko jestem. Ale może należałoby taki wniosek: żeby delegacja do fabryki poszła prosić za nim. A on deklarację złoży, że uczyć się będzie tak pilnie jak pracował.

Przyjaciele kpili z Jędraszka: uczepił się babskiego fartucha. Próbowali go drwinami oderwać. Ale z niego twarda sztuka, uparty. Patrzył spode łba, milczał, cokolwiek mówili. Pozostał przy swoim.

Trudne dni nastały dla niego. Ciężkie nałożono zadanie: przełamać samego siebie. Chłopcu, który się do tego przyzwyczaił, że samemu sobie najprędzej się ulega.

Kiedy na zebraniu ZMP — przy wyborach, albo przyjmowaniu nowych członków — słucha się chłopięcych życiorysów, uderza w nich jedno: jak bardzo się powtarza motyw sieroctwa. Robotnicy żenili się młodo, mimo to warunki życia skracały czas, który mogli poświęcić dzieciom.

Adam urodził się w Krakowie. Matka chorowała, długo nie było dzieci. Niemniej ciąża przyniosła nie radość, tylko zgryzotę: w złym przyszła czasie.

Zawód męża: murarka. Dobrym był mężem — nie pił. Kiedy pracował — zarabiał nieźle. Sezonowe bezrobocie nadrabiało się oszczędnością, posługami, dorywczymi pracami. Ale budowano coraz mniej — szedł kryzys.

Coraz więcej roboty musiała na siebie brać Jędraszkowa. Już nawet próbowała — mimo skąpych sił — prania. Nie dopuszczała do domu smutku. Kiedy się jednak chłopak urodził, bezrobocie trwało nad domem niby chmura w ponure, jesienne dni. Ani promyka.

Dobrze musieli oboje wytężać spryt i energię, aby nie zginąć. Ojciec szukał, gdzie by taniej kupić — mleko, drób. Przebywał piechotą wiele kilometrów, dla niewielu groszy dźwigał nieraz duże ciężary. Matka podchwytywała łaskę skąpej dobroczynności: gdzie obiady dla bezrobotnych, gdzie jakie łachmany, czy może zapomogi. Coraz z tym było trudniej: bezrobocie rosło, a dobroczynność nie rosła.

Mały Adaś cieszył się, że wiosna i słońce ciepłe. Matka ściągnęła z niego nieprzyjemne, krępujące ruchy szmaty, można rzucić pończochy — zwijały się, przeszkadzały w bieganiu.

Ale ta wiosna nie przyniosła nic dobrego. W pewien ranek matka — zawsze pogodna — płakała. Prosiła męża — nie idź — Nie odpowiadał wcale, wyrwał się szorstko przytrzymującym go ramionom. Powiedział nawet: — Głupia. — Adaś przypisał tym słowom szorstkości ojca, że matka płakała jeszcze długo po jego odejściu.

Stała potem na środku pokoju, bezmyślnie patrzała przed siebie. Chłopczyk nawet nie śmiał jej przypomnieć, że nie dostał śniadania.

I obiadu w tym dniu nie zgotowała. Adasiowi się zdawało, że wszystko się wali, kiedy matka wcale o nim nie pamięta.

Tłukła się z kąta w kąt, brała rozmaite rzeczy do rąk i odkładała. Próbowała coś robić i opadały bezsilnie ramiona, nic się w nich nie mieściło. Biegła do drzwi i do okna, podnosiła głowę ostro nerwowo na każdy szmer.

Chłopczyk wybiegł na podwórze: wcale nie miał ochoty do zabawy, ale dusił się w izbie, bał się straszliwie, chciał zapomnieć o matce, takiej obcej, innej, niż zawsze.

Na całe życie zapamiętał jej krzyk: ostry, przeszywający dźwięk w głosie, który go wzywał. W pokoju dużo ludzi, na łóżku ojciec. Krwawił.

Na świecie pokój. Mówiło się o wojnie, ludzie bali się wojny, ale jeszcze trzy lata dzieliły ich od chwili, kiedy nad miastem miały wykwitnąć dymki wybuchów. Mimo to ojciec zginął: inna wojna toczyła się na ulicach Krakowa. To rząd polski rozwiązywał zagadnienie bezrobocia.

Wielu robotników padło w tym roku, nie tylko w Krakowie. Adaś o tym nie wiedział. Nie rozumiał, dlaczego stracił ojca i nikt mu tego nie tłumaczył.

Sąsiadka zabrała go do siebie, nakarmiła razem ze swoimi dziećmi. Kolacja zastąpiła mu śniadanie i obiad: tak się upamiętnił ten dzień.

Jeszcze przez szereg dni ta sama sąsiadka troszczyła się o niego. Mało widywał matkę, nawet spał w obcym mieszkaniu. Matka wylegiwała się na łóżku, odpoczywała za całe pracowite życie. Przygotowywała się do śmierci.

Sąsiadka patrzyła na chłopca coraz niechętniej. Słyszał i odczuł jej słowa: — Nam samym ciężko, jak karmić chłopca? —Nalegała na męża: — Musisz to przecie załatwić, zupełny sierota, na pewno przyjmą. Za mały, aby pójść na ulicę.

...Zachodził pod znane drzwi, patrzył jak obcy ludzie wchodzą do mieszkania, gdzie przebywał z rodzicami. Patrzył na nieznaną kłódkę, nie mógł pojąć, skąd się wzięła i zagradza mu wejście. Płakał. Za wcześnie skończyło się dzieciństwo.

Z radością szedł do sierocińca, gdzie go wreszcie przyjęli. Dławiła już niechętna łaska sąsiadów. Ale w sierocińcu jeszcze gorzej, jeszcze smutniej. Śmiech, radość — przestępstwem, sieroctwo — niby grzech, za który niedość kary. Jak to znieść? — uciekł.

W pierwszej chwili cieszyła swoboda. Lato się kończyło, ale słońce jeszcze grzało. Chwytał się tramwajów, przesunął na kraniec miasta. A potem poszedł drogą, pytał napotkanych ludzi, czy by nie wzięli do siebie, pokazywał muskuły, napinał je, aż twarz czerwieniała. Może pracować.

Śmieli się: zabawny pędrak. Potem złapali policjanci, obsztorchali. Wrócił do sierocińca — zbili.

— Nie ma na niego sposobu, ten chłopiec nic sobie z niczego nie robi. Ani ambicji, ani za grosz zrozumienia. Ze szczętem zły i głupi.

Adaś znosił bicie i naganę z równą obojętnością. Nie dał się też pozyskać łagodniejszym słowom. Nikomu nie wierzył, patrzył spode łba, coraz bardziej ponury i nastroszony wobec niepewności, skąd padnie nowy cios. Gryzł zawzięcie paznokcie; uderzony po łapach, podnosił je znowu do ust — doprawdy nie było na niego sposobu.

Uciekł po raz drugi, kiedy nadszedł „sądny dzień". Tym razem nikt nie złapał, drogi zalegały gromady ludzi i zawsze się znalazł, kto kawałkiem chleba odpowiedział na łapczywy wzrok chłopca.

Dobrze mu było w te pogodne wrześniowe dni. Swoboda i życzliwość, jakich dawno, dawno nie zaznał, a nawet wcale już nie pamiętał. Naloty mu nie przeszkadzały: jeszcze jeden punkt w zajmującej przygodzie. Patrzył ciekawie w niebo i jeżeli kładł się na ziemi, czy wskakiwał do rowów, albo chronił się do lasu — czynił to jedynie dla solidarności z gromadą. Wcale mu się nie udzielał jej strach.

Tak zawędrował do Łodzi i tu pozostał.

Zapoznał się z chłopakami, pomogli mu w dostaniu kolportażu pisma. Wykrzykiwał jego tytuł i wykrzywił się ordynarnie do pani, która go zapytała: — Czemu pomagasz Niemcom w propagandzie?

Niezłe były wojenne lata. O zarobek nie trudno i zarabiało się! Starczyło na dobre żarcie. W poczuciu swojej ważności próbował palić papierosy. Palił, zatrzymując dym w ustach, bo ile razy się zaciągał — wymiotował. Potem zarzucił palenie; urwisy poznali się na udawaniu — wydrwili.

Spali pokotem u baby, która wyrabiała papierosy. Biła ich nieraz, bo ją oszukiwali, okradali. Pozwalali się bić, podstawiali z humorem plecy pod słabe pięści. Nie takie znali cięgi.

W niedzielę Adaś pchał się z kolegami do kina. Siadał niedaleko ekranu, patrzył na zniekształcony, spłaszczony obraz, wykrzykiwał z innymi w ciekawszych momentach, ssał wargi w długim cmoknięciu, kiedy się na ekranie całowano.

Wieczorem chodzili niekiedy pod teatr, czekli na wychodzących gości. To satysfakcja: tak z nagła plunąć pod nogi wytwornej paniusi! Albo roześmiać się z siłą — mocą wprost w czyjeś zgorszone, czy zgoła przerażone oczy. Co wy sobie myślicie?! Że jesteście więcej od nas warci? Czy potraficie tak dać radę życiu jak my?

Wesoło było w te lata! A jednak... coś nie dawało spokoju. Coś biło w sercu chandrą - tęsknotą Czuło się, że owszem: wesoło, a równocześnie nie tak jakby się chciało.

Starsi koledzy radzili: pij. Kupował dziewczynkom cukierki, pozwalały się za nie dotykać. Ale on nie tego chciał. Nie wiedział, a tęsknił za mądrym, serdecznym słowem.

Wesoło w „ferajnie" ale serdeczności w niej nie szukać. Miłości uczyły ich filmowe ekrany, życie zaś niezgorzej biło. Nie wolno się roztkliwiać, niebezpiecznie. Gdyby wiedzieli o tęsknotach Jędraszka zelżyliby: baba! Albo nawet gorzej — zaczęliby naciągać.

Skończyła się wojna. Stara paczka rozlazła się, przestała istnieć. Wzywano do fabryk i chłopcy poszli. Gazety — żadna przecie przyszłość.

Jędraszek poszedł także. Stanął przy maszynie i świeża pamięć półanalfabety chwytała w lot wyjaśnienia. Przetwarzał je w czyn zręcznymi palcami. Ale nie zadowolili się tym, posłali na kurs, kazali się uczyć. A tu już zawodziła pamięć i zręczność palców.

I tego jeszcze było im mało. Powiedzieli: młodociany ma iść do szkoły. Jaki tam młodociany? Wnet skończy piętnaście lat. A od kiedy na własnym garnuszku? Zupełnie dorosły.

Ani przekonać — piłowali, nie dawali spokoju. Majster, robotnik, który wprowadzał do zawodu, wreszcie nawet właścicielka mieszkania: — Więcej się naumiesz — dalej zajdziesz. Smarkacz! Zdobyczy demokratycznej uszanować nie potrafi! Otwiera się przed nim drogę do dobrego życia, a on się namyśla. Nie tak dawniej bywało. Ale co wy z tego rozumiecie, łobuzy?

Z początku uczył się nawet nieźle: nowość pociągnęła. Ale jak tu usiedzieć tyle godzin w ławce, jak przywyknąć do naprężenia uwagi? Niektóre lekcje interesowały, a niektóre solidnie nudziły. I „nowość" się „opatrzyła".

Nie sądził, że wyleją, nie przejmował się naganami. Czy nie był „chłopcem, na którego nie ma sposobu"?

A jednak przełamał się; zmienił się i przezwyciężał codziennie, aby tylko nie zrazić do siebie Dąbrowieckiej i jej męża.

Wieczory w przytulnym pokoju. Jasne oczy i kobieca ręka, promieniująca ciepłem. I męski szorstki głos: — Jak ci tam poszło? Dajesz sobie radę? — Warto się męczyć, aby tego nie stracić. Wszystko zniesie, bo wzamian otrzyma, co mu zostało odebrane zbyt wcześnie.

Marcelina Grabowska

*) Fragment powieści p. t. „Siedem skór".

JERZY WIATR

MONOGRAFIA SZKOŁY

I. POCZĄTKI SZKOLNICTWA ŚREDNIEGO W GODZIANOWIE

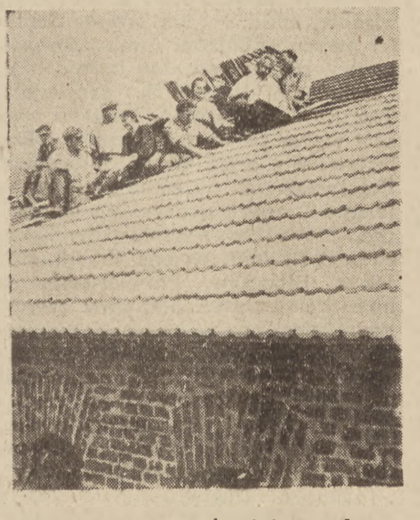
Godzianów jest wsią dość dużą (780 mieszkańców — 1125 ha ziemi). Przeważają gospodarstwa średniackie (4—9 ha). Biedniacy są we wsi stosunkowo nieliczni. Grupa bogaczy wiejskich posiadała przed wojną i później panującą pozycję we wsi. Brak majątku obszarniczego, a co za tym idzie proletariatu rolnego wzmacniał tę pozycję kułactwa. Wieś ma polityczne tradycje ruchu ludowego („Zaranie", „Wyzwolenie") i kierowane przez grupę bogaczy wiejskich „Wici". W życiu gospodarczym wsi ogromną rolę odegrały założone przez kułaków spółdzielnie (mleczarska, piekarska, betoniarska, spożywcza). Były one ściśle związane z gospodarstwami bogackimi i były powodem pewnego rodzaju kapitalistycznej postępowości Godzianowa, polegającej na wyższym niż w innych wsiach poziomie produkcji kapitalistycznej, lepszej organizacji zbytu, zakupów i inwestycji. W okresie przedwojennym bogaci chłopi kształcili swe dzieci przede wszystkim w szkołach rolniczych. Prawie wszyscy obecni kułacy godzianowscy uczyli się w tych szkołach.



Dom nauczycielski

W czasie okupacji niemieckiej w Godzianowie nastąpiło wyraźne zaostrzenie antagonizmów klasowych między biedotą a kułakami. Fakt ten spowodowany był kilkoma przyczynami. W wyniku korzystnej sytuacji gospodarczej (dodatkowe źródła dochodów dla gospodarstw kułackich) powstałej w czasie wojny, bogacze poważnie zwiększyli swój potencjał ekonomiczny. Masowo kupowali nawozy sztuczne i maszyny rolnicze. Tym samym zwiększyła się eksploatacja biedoty wiejskiej. Drugą przyczyną tego wzrostu antagonizmów klasowych było podniesienie się świadomości politycznej biedoty wywołanej wzmożonymi kontaktami z ośrodkami AL-owskimi w powiecie łowickim. Wreszcie niezwykle mobilizująco na biedotę działały wiadomości o zwycięstwach Czerwonej Armii.

W ślad za wzrostem świadomości politycznej biedoty zaczynała dojrzewać potrzeba nauki. Uświadamiano sobie coraz wyraźniej, że kułacy mają nie tylko przewagę gospodarczą, ale i przewagę wiedzy. Tę właśnie przewagę wiedzy biedniacka młodzież chciała wyrwać bogaczom. Nastroje te nurtowały wśród grupy radykalnej młodzieży wiciowej z Godzianowa (Józef Mozga, Franciszek Meszka) Lipiec (Stefan Kuczkowski), Woli Drzewieckiej (Feliks Starzec). Od grupy tej wyszła inicjatywa zorganizowania we wsi tajnego nauczania. Był to rok 1940. W okolicznych wsiach znajdowali się nauczyciele gimnazjalni wysiedleni z ziem zachodnich. Z aprobatą i pewną pomocą spotkała się ta inicjatywa również u kierownika szkoły powszechnej Wojciecha Gruziela. W późniejszym już okresie sprawą godzianowskiego tajnego nauczania zajęły się konspiracyjne władze oświatowe działające w powiecie skierniewickim. Zorganizowały one w Godzianowie komisję egzaminacyjną dla podobnych kompletów gimnazjalnych istniejących w innych wsiach.



Przy budowie spółdzielczej obory

Główny jednak ciężar organizowania nauki spoczął na wymienionej poprzednio grupie działaczy wiciowych. Borykali się oni z potężnymi trudnościami. Przede wszystkim trudność stanowił tajny, konspiracyjny charakter nauczania. W razie ujawnienia groziły represje ze strony okupanta. Dalej, organizatorzy szkoły mieli do zwalczenia trudności techniczne jak: brak lokalu, brak mieszkań dla nauczycieli, brak pomocy szkolnych. Ogromną pomoc okazała tu szkoła powszechna W jej lokalu i w dużej mierze przy jej pomocach szkolnych odbywała się tajna nauka. Gdy zaś w szkole na pewien czas zakwaterował oddział wojska niemieckiego, lekcje przeniesiono do zabudowań chłopskich. Dużą rolę w przezwyciężaniu trudności odegrała sama młodzież. Dla zwalczania trudności mieszkaniowych młodzież podjęła w 1944 roku budowę domu społecznego (tzw. „glinianki"), w którym po wojnie znaleźli mieszkania nauczyciele szkoły. Obok tych trudności wynikających z przyczyn technicznych i z warunków konspiracyjnych istniały jeszcze innego rodzaju przeszkody. Powodem ich był negatywny stosunek bogaczy wiejskich do tajnego nauczania. Kułacy agitowali przeciw formowaniu kompletów, przekonywali młodzież o nierealności tej inicjatywy. O sposobie i politycznym charakterze tej argumentacji świadczy wypowiedź wybitnego działacza kułackiego Franciszka Jagielskiego:

— „Po co wy się uczycie? Wy się będziecie uczyć, a kto przy gnoju będzie robił. Lepiej byście się za coś porządnego wzięli".

Pierwsza grupa objęta tajnym nauczaniem składała się z dwóch kursów. Kurs A obejmował młodzież starszą, przedwojennych wiciarzy. Byli to zarazem organizatorzy nauczania i przez cały czas istnienia szkoły jej ideologiczni przewodnicy. Obok nich istniał kurs B, grupujący młodzież w normalnym wieku szkolnym. Rekrutowała się ona z absolwentów szkoły powszechnej zwerbowanych na podstawie listy dostarczonej przez kierownictwo szkoły. Roczniki następne, przychodzące co roku do szkoły rekrutowały się głównie z młodzieży w normalnym wieku szkolnym. Ogółem tajnym nauczaniem objęta była grupa złożona z około 100 osób (we wszystkich rocznikach). Była to młodzież nie tylko z Godzianowa, ale i z innych wsi, przede wszystkim z Lipiec i Woli Drzewieckiej. Uczestnicy tajnego nauczania wytworzyli niezwykle zwarty kolektyw uczniowski. Cechowała go ogromna solidarność i świadomość odpowiedzialności za podjęte zadanie. W swojej chłopskiej szkole uczniowie widzieli środek na zaradzenie krzywdzie społecznej, nędzy i zacofaniu. — Mówią o tym wyraźnie artykuły z niedrukowanej jednoniówki. — Niewątpliwie nie uświadamiali sobie jeszcze wtedy, że tylko w pewnych warunkach historycznych, warunkach określonych zdobyciem władzy przez klasę robotniczą w sojuszu z pracującym chłopstwem, szkoła wiejska będzie mogła spełnić pokładane w niej nadzieje.

Wyrazem tej solidarności kolektywu uczniowskiego była niezwykle natężona walka o każdego ucznia szkoły. Młodzież ta musiała przecież sama na siebie pracować a ponadto borykała się z trudnościami wynikłymi z nieprzygotowania do szkoły średniej. Jeżeli pomimo to kilkunastoosobowa grupa ukończyła szkołę w tym pierwszym roczniku, to stało się to możliwe tylko dzięki kolektywnemu wysiłkowi młodzieży. Wysiłek ten przejawiał się w szeregu form samopomocy koleżeńskiej takich jak: podciąganie opóźnionych i słabszych w nauce uczniów, a nawet pomoc w pracy zawodowej wtedy, gdy utrudniała ona naukę.

Pierwsza grupa maturzystów szkoły, ta sama grupa, która zorganizowała naukę, nie zatraciła kontaktów ze sobą po opuszczeniu szkoły. Nie zatraciła również — przebywając w mieście — kontaktów ze szkołą i ze wsią. Zorganizowane zostało mocne i bardzo aktywne koło byłych wychowanków szkoły, które w niedługim czasie odegrało poważną rolę w życiu szkoły i w życiu całego Godzianowa.

II. SYTUACJA SZKOŁY PO WOJNIE

Po wyzwoleniu szkoła została upaństwowiona i rozpoczęła normalne nauczanie. Istniał szereg trudności natury technicznej, które szkoła miała do zwalczenia. Tak więc ponieważ lekcje odbywały się w budynku szkoły podstawowej i w godzinach popołudniowych, należało szkołę zelektryfikować. Prąd doprowadzono do szkoły od młyna, który już poprzednio był zelektryfikowany. Dla zaradzenia trudnościom młodzieży dochodzącej do szkoły z odległości wielu kilometrów wybudowano w 1947 roku internat szkolny. Wreszcie zakończono po wojnie budowę „domu społecznego", w którym zamieszkali nauczyciele szkoły. Prace te odbywały się przy współudziale wsi (na przykład przy budowie internatu wartość pracy bezpłatnej oceniono na 500.000 zł.). Kierował tymi pracami — obok dyrekcji szkoły — Komitet Rozbudowy Szkoły. Na czele tego komitetu stali kułacy: Jagielski i Aleksander Białkowski. Postawa kułaków wobec szkoły uległa radykalnej zmianie. Widząc, że szkoła jest faktem nieodwracalnym postawili nie na zwalczanie jej lecz opanowanie. Zaczęli intensywnie oddziaływać na nauczycielstwo i dyrekcję. W tym właśnie okresie (1945 r.) nastąpiła zupełna zmiana personelu. Grono nauczycielskie sformowane podczas wojny, złożone z ludzi przypadkowo rzucanych na wieś, opuściło szkołę. Nowy dyrektor (K. Groszyński) zorganizował grono nauczycielskie z ludzi, którzy świadomie decydowali się na pracę na wsi pomimo wszystkich związanych z tym trudności natury i pedagogicznej i organizacyjno-bytowej. To grono nauczycielskie przetrwało w prawie niezmienionym składzie pięć lat. Byli to ludzie decydujący się na pracę w ciężkich, trudnych warunkach ludzie niewątpliwie ofiarni i pełni najlepszych chęci. Ale równocześnie



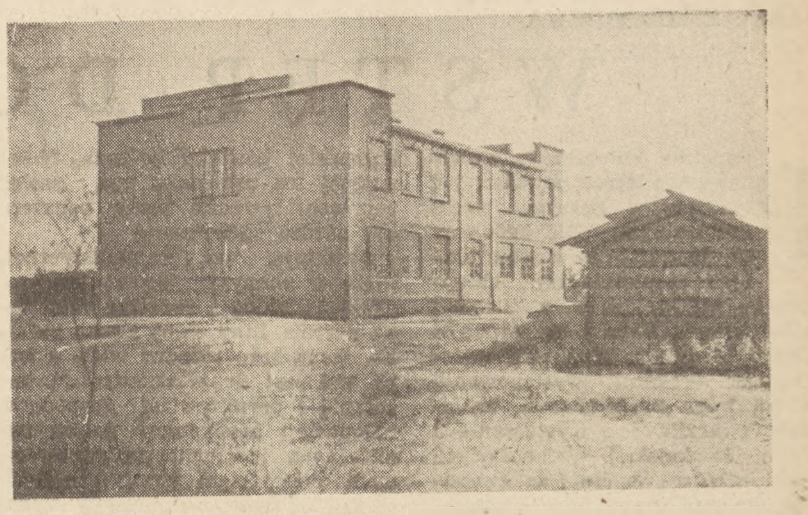
Godzianowska młodzież

niezwykle słabi ideologicznie i podatni na wrogie oddziaływanie. Nie będzie bezpodstawne i iluzoryczne twierdzenie, że gdyby ci ludzie otrzymali pomoc z zewnątrz byliby w stanie uczynić szkołę mocnym ośrodkiem radykalizacji wsi. Ale pomocy tej nie dostali. Nie mogli jej dostać, bo w Godzianowie **jeszcze nie było takiego ośrodka walki o przebudowę wsi.** Godzianów był opanowany przez kułactwo, przez PSL. Oddziaływanie kułactwa na szkołę było duże. Nauczycielstwo, nawet dyrektor ulegli temu oddziaływaniu. Wyrażało się to w nadawaniu szkole prawicowo - ludowego oblicza politycznego. W szkole szerzono specyficzny kult pamięci Witosa, którego kreowano na nieoficjalnego patrona szkoły. Aż do 1948 roku urządzano obchody rocznicy jego śmierci. Opinia wsi — a konkretnie opinia biedniackiej części wsi — wyraźnie ocenia ten okres jako bratanie się szkoły z kułakami. Bogacze odbywali częste narady z dyrektorem szkoły, który w nich widział reprezentantów wsi. Specjalnie wyraźnie wystąpiła sprawa klasowego charakteru szkoły wtedy, gdy wynikł projekt przeniesienia szkoły do Lipiec Reymontowskich. Inicjatywę przeniesienia szkoły wysunął jeden z jej organizatorów Stefan Kuczkowski. Zyskała ona aprobatę aktywu wiciowego z Lipiec i z powiatu łowickiego. Za przeniesieniem szkoły przemawiały cztery bardzo istotne względy: 1) gęstsze zaludnienie okolicy i większa ilość uczniów szkoły mieszkających w Lipcach i w okolicy Lipiec niż w Godzianowie; 2) istnienie w Lipcach przystanku kolejowego (ważne dla nauczycieli dojeżdżających z miasta); 3) większa odległość od Skierniewic, gdzie jest szkoła średnia. Do Lipiec ze Skierniewic jest 20 km, do Godzianowa 9 km. Większe rozrzucenie sieci szkół ułatwia młodzieży biedniackiej dostęp do nich; 4) biedniacki charakter Lipiec i wsi okolicznych (Zagórze, Wola Drzewiecka, Chlebów) w odróżnieniu od średniackiego z dużymi wpływami kułaków Godzianowa. Konsekwencją tego była inna sytuacja polityczna w Godzianowie (wyraźnie reakcyjno_peeselowskim) niż w radykalnych Lipcach. Ta ostatnia przyczyna nadawała walce o przeniesienie szkoły wyraźnie klasowy charakter. W interesie kułactwa leżało pozostawienie szkoły w Godzianowie. Wystąpiło tu niezwykle ciekawe zjawisko. Młodzież biedniacka — wcale nie nastawiona prokułacko — poparła te dążenia kułaków do zatrzymania szkoły w Godzianowie. Stało się to wskutek tego, że wykorzystano „patriotyzm lokalny" i godzianowską ambicję tworzenia wsi przodującej pod każdym względem. Iluzoryczny i bardzo wątpliwego rodzaju „interes" Godzianowa przesłonił tej młodzieży rzeczywisty klasowy interes biedniactwa całej okolicy. Oczywiście dla uniknięcia uproszczeń nie można pominąć faktu, że dużą rolę w tym niesłusznym stanowisku biedniackiej młodzieży odegrało postawienie tej sprawy przez Kuczkowskiego poza plecami kolektywu uczniowskiego, który poczuł się tym — mniej lub więcej słusznie — urażony. Plany przeniesienia szkoły spaliły na panewce. Należy to ocenić jako porażkę biedniactwa, które zresztą nie zdawało sobie i nie bardzo jeszcze zdaje sobie z tego sprawę. W okresie powojennym dokonują się również interesujące zmiany wśród młodzieży szkolnej. W roku 1947 powstaje szkolne koło „Wici" założone przez działaczy związkowych z lewym skrzydłem „Wici" (K. Kwiatkowski, S. Maszkowski, J. Polit). Koło to w okresie zjednoczenia organizacji młodzieżowych bierze czynny udział w pracy zjednoczeniowej. Młodzież wiciowa nawiązuje ścisłe kontakty z ZWM-owcami i OMTUR-owcami ze Skierniewic. Niedługo po zjednoczeniu koło ZMP staje się silnym ośrodkiem wpływającym radykalizująco na szkołę i na wieś.

III. ROLA SZKOŁY W WALCE KLASOWEJ W LATACH 1948-1951

Nowy moment w życiu wsi, a co za tym idzie w życiu szkoły nastąpił na jesieni 1948 roku. Po sierpniowym Plenum KC PPR w październiku 1948 r. w tygodniku „Wieś" ukazały się artykuły zainicjowane przez grupę byłych wychowanków szkoły. W artykułach tych na przykładzie Godzianowa demaskowano kułaków — „przedsiębiorców" i analizowano zróżnicowanie klasowe wsi. Artykuły wywołały wzmożoną walkę na terenie Godzianowa. Dalszymi etapami tej walki było zorganizowanie Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR, usunięcie kułaków z władz Gminnej Spółdzielni, mleczarni, piekarni w wreszcie w 1950 roku stworzenie spółdzielni produkcyjnej. Walka, która rozgorzała we wsi nie pozostawiła na uboczu również i szkoły. Nie pozostawiła tym bardziej, że artykuły zaatakowały szkołę jako sojusznika kułactwa. Ta ocena była uzasadniona w pewnym tylko stopniu. Niewątpliwie szkoła godzianowska swoją „neutralnością" pomagała kułactwu. Ale również niewątpliwy jest fakt nie podkreślony w artykułach, że aby szkoła stała się ośrodkiem walki przeciw kułactwu musiała ona dostać pomoc z zewnątrz, pomoc która ułatwiłaby nauczycielstwu zajęcie bardziej jeszcze radykalnej postawy. Tej pomocy nie było.

Wokół problematyki artykułów rozpoczęła się we wsi i na terenie szkoły walka. Kułactwo atakowało inicjatora artykułów, działacza wiciowego Józefa Mozgę. Chciano namową i groźbą zmusić go do odwołania tez artykułów, organizowano bojkot towarzyski Mozgi we wsi. Szczuto przeciw niemu opinię wsi. Do tej reakcyjnej roboty kułactwa dał się użyć dyrektor szkoły, który dopuścił do urządzenia na terenie szkoły publicznej „rozprawy" z Mozgą. Kułacki komitet rodzicielski wezwał Mozgę na zebranie rodziców. Było to więc zebranie ludności Godzianowa i okolicznych wsi. Zarzucono mu, że artykuły były oszczerstwem przeciw szkole i że utrudniały jej pracę. Zażądano odwołania ich. Pomimo „jednolitego frontu" zmobilizowanej przez kułactwo opinii publicznej popartej przez taki autorytet jak dyrektor szkoły, Mozga nie odwołał wypowiedzianych w artykułach twierdzeń, wprost przeciwnie użył zebrania dla ich dokładniejszego uzasadnienia. Nie pozostało to bez echa. Stanowisko byłych wychowanków znalazło poparcie wśród grupy szkolnej młodzieży zetempowskiej, która czynnie włączyła się do toczącej się walki. Licealiści nie tylko dyskutowali wewnątrz szkoły, ale także zaczęli demaskować kułaków na łamach prasy. W trakcie tej walki grupa aktywu zetempowskiego ze szkoły została przyjęta do PZPR, która powstała w Godzianowie w 1949 roku. Odtąd ludzie ci stali się w pełni awangardą walki przeciw kułactwu we wsi. Do najczynniejszych działaczy zetempowskich przyjętych do PZPR należeli Kwiatkowski, Maszkowski, Ciesielski, Majcher. Dwaj pierwsi zdali w 1949 maturę i zostali nauczycielami w szkole godzianowskiej (w klasach podstawowych). Stanowili oni wyraźne przeciwieństwo reszty nauczycieli. Nauczyciele uczący w szkole godzianowskiej starali się w czasie zaostrzającej się walki unikać udziału w niej. Ograniczali się do spełniania obowiązków zawodowych. Najwyżej wyrażali gotowość wzięcia udziału w pracy społecznej, ale sami nie szukali form tej pracy. Toteż życie społeczne wsi odbywało się za ich plecami. Równocześnie byli oni dość dalecy młodzieży. Młodzież miała swoje problemy. Ściśle związana z życiem wsi brała niezwykle czynny udział w toczącej się walce. Postawa nauczycielstwa utrudniała w tym okresie walkę ZMP o radykalizację młodzieży, gdyż młodzież bierna, a tym bardziej wroga znajdowała poparcie dla siebie w biernym, dwuznacznym stanowisku nauczycielstwa. Natomiast młodzi nauczyciele-zetempowcy stali się prawdziwymi towarzyszami walki z grupy młodzieży. Swym doświadczeniem i stanowiskiem ułatwiali pracę ZMP nad uaktywnieniem młodzieży w walce przeciw kułactwu.



Gimnazjum w Godzianowie

Rok szkolny 1949/50 był okresem bardzo silnych walk na terenie szkoły. Nic dziwnego. W życiu wsi był to okres tworzenia spółdzielni produkcyjnej.

Bardzo wyraźnie uwidoczniła się radykalizująca rola internatu szkolnego. Internat grupujący około połowę młodzieży szkolnej stwarza sprzyjające warunki dla większego wpływu ZMP na tę młodzież. Właśnie grupa mieszkańców internatu stanowi najbardziej bojową i oddaną część młodzieży. Od niej wychodzą — znienawidzone przez kułaków — artykuły i korespondencje do prasy, demaskujące formy wyzysku kułackiego w całej okolicy.

W tym czasie kiedy we wsi dojrzewa myśl o spółdzielni produkcyjnej, kiedy trwa wytężona agitacja za spółdzielnią i niemniej zaciekła kontragitacja kułaków, w tym samym czasie młodzież coraz wyraźniej negatywnie ocenia postawę nauczycielstwa i dyrektora, stawia im zarzuty i wymagania. Spotkaliśmy się z krytycznym stosunkiem nauczycieli, a w szczególności dyrektora Groszyńskiego do tej postawy młodzieży. Wysunięto poważny zarzut, że było to podrywanie autorytetu personelu szkolnego. Ale analiza sytuacji politycznej wsi pozwala — moim zdaniem — na inną ocenę tego zjawiska, trzeba przyznać że niecodziennego. Młodzież atakując większość nauczycieli za izolowanie się od życia wsi, za dwulicowy a nawet wręcz wrogi stosunek do ZMP i do przebudowy wsi, podnosiła na wyższy poziom toczącą się we wsi walkę klasową, zdobywała do tej walki szkołę. Wiosną 1950 roku odbyły się 2 zebrania młodzieży z udziałem nauczycielstwa. Na zebraniach tych poddano bardzo ostrej krytyce dotychczasową postawę nauczycielstwa i dotychczasowy, zbyt słaby udział szkoły w walce klasowej. Zebrania te stanowią początek przełomu na terenie szkoły. Ocena roli szkoły w okresie tworzenia spółdzielni wymaga jasnego sprecyzowania, czy będziemy to rozumieli, jako rolę młodzieży szkolnej, czy jako rolę nauczycielstwa. Te dwie grupy razem składają się na pojęcie szkoły. Szkoła tylko wtedy spełnia swe zadanie w walce klasowej toczącej się w środowisku, jeżeli i młodzież i nauczycielstwo są czynnymi uczestnikami tej walki. W Godzianowie nauczycielstwo w swojej masie uchyliło się od udziału w walce klasowej, w tworzeniu spółdzielni produkcyjnej, w przebudowie wsi. Natomiast młodzież swoje zadanie spełniła. Dwa pokolenia uczniów szkoły: starsze (byli wychowankowie) i młodsze (uczniowie - zetempowcy) podjęły i poprowadziły walkę na terenie wsi. Tak więc szkoła odegrała w życiu Godzianowa rolę radykalizującą, a rolę tę odegrałaby w dużo większym stopniu, gdyby młodzież znalazła w nauczycielstwie towarzysza współwalczącego przeciw wyzyskowi na wsi. A tego do niedawna nie było.

W ubiegłym (1950-51) roku szkolnym dały się zauważyć pewne przejawy dokonującego się przełomu.

Przełom ten został ułatwiony tym, że na jesieni 1950 roku na czele szkoły stanął jako p. o. dyrektora dawny uczeń szkoły, młody nauczyciel Klemens Kwiatkowski, będący równocześnie drugim sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR. Pod jego wpływem nauczyciele zaczęli brać udział w pracach społecznych (Koło Gospodyń, Komitet Obrońców Pokoju). Równocześnie w realizacji planu wychowawczego położono większy nacisk na problematykę polityczną związaną z przebudową wsi.

Ten proces radykalizacji szkoły bez wątpienia będzie postępował coraz szybciej. Szkoła ogólnokształcąca staje się w Godzianowie tym, czym ją sobie wymarzyli jej organizatorzy w latach okupacji — ośrodkiem postępu na wsi.

Równocześnie kułactwo nie rezygnuje z walki. Szkoła wysunęła mu się z rąk. Dlatego teraz można zauważyć nową zmianę taktyki kułactwa wobec szkoły. Zaczyna się szkalowanie szkoły i młodzieży szkolnej. Na specjalne ataki wystawiony jest internat. Młodzieży z internatu zarzuca się, że wprowadziła niesnaski do wsi. Usiłuje się ją jako „obcych" odizolować od wsi. Nacisk reakcji obejmuje również część nauczycielstwa. Myślę, że uleganiem temu naciskowi należy wytłumaczyć odejście części nauczycieli ze szkoły, co miało stworzyć szkole trudności kadrowe. W istocie od słusznego i troskliwego rozwiązania sprawy kadr dla szkoły zależy jej dalszy rozwój i jej udział w życiu wsi, a więc w dużej mierze zależy od tego dalszy przebieg walki klasowej w Godzianowie. Można tu wysunąć wniosek, że dokonany przez władze oświatowe eksperyment, polegający na powołaniu do szkoły jako nauczycieli najlepszych jej wychowanków, udał się i zasługuje na kontynuowanie. Rozwiązanie jednak można znaleźć jedynie na drodze skierowania do szkół wiejskich pełnowartościowej (politycznie i zawodowo) kadry nauczycielskiej.



Po pracy

Jerzy Wiatr

MARIA ŻMIRGODZKA

WSTĘP DO BIOGRAFII BIEDNIAKA

Pamiętnik chłopski to zjawisko posiadające poważną już tradycję w naszym życiu kulturalnym. Nie będziemy się tu cofać do czasów starych pamiętnikarzy chłopskich — zadowolonego z siebie i świata sołtysa Słomki czy zapobiegliwego biedniaka Magrysia, uwiedzionego urokami występowania **„w sprawach ogólniejszych, krajowych“** i możliwością wygłaszania u Bramy Floriańskiej wzruszających przemówień o **„wspólnej ze wszystkimi stanami pracy nad odrodzeniem Ojczyzny“.** Bliższe tradycje współczesnego pamiętnikarstwa chłopskiego sięgać będą 20-lecia międzywojennego, gdy w pamiętnikach wyzyskanych przez Państwowy Instytut Kultury Wsi przemówił głos nędzy i społecznego upośledzenia wsi — bezsilny a gniewny, nieporadny w szukaniu przyczyn i środków zaradczych, a żądny światła i ludzkich warunków bytu.

„Młode pokolenie chłopów“ było książką, która argumenty dla tez burżuazyjnej socjologii i burżuazyjnego demokratyzmu znalazła w materiale „Pamiętników chłopów“ aż nadto łatwo; nie potrzebowała uciekać się nawet do naciągania materiału faktycznego. Jednak w 20-leciu międzywojennym nie można było wydać książki pod nieco zmienionym tytułem, z pracowni żadnego z instytutów „badań społecznych“ nie wyszło „Młode pokolenie robotników“. Materiał, który mógłby przynieść konkurs na życiorys proletariusza byłby nie do wyzyskania w publikacji tego typu. Istniały bowiem podstawowe różnice między stopniem rewolucyjnej świadomości mas robotniczych a chłopskich. Na płaszczyźnie pamiętnikarstwa różnice te doprowadzają do najzupełniej innego i odmiennego ujęcia materiału życiowego.

Pamiętnik robotniczy osnuty jest z reguły niemal wokół osi konstrukstrukcyjnej, jaką stanowi droga tych doświadczeń zawodowych i politycznych proletariusza, które pogłębiają jego świadomość klasową. Życiorys robotnika obrazuje dorastanie proletariusza do pozycji świadomego rewolucjonisty, jest typowym skrótem drogi ideowej, jaką przejść musiała jego klasa, by stać się „klasą dla siebie“. W życiorysie działacza robotniczego wspaniałą ilustrację praktyczną znajduje słynne sformułowanie Marksa, ustalające funkcje rewolucyjnej teorii: „Filozofowie jedynie różnymi sposobami **objaśniali** świat, chodzi jednak o to, aby go **zmienić“.** Stosunek proletariusza do wiedzy, uparta praca nad rozszerzeniem własnych horyzontów poznawczych, to nie eklektyczne zbieractwo ciekawostek — to dążenie do opanowania podstawowego narzędzia walki, jakim jest rewolucyjna teoria — właśnie po to, by zmienić oblicze świata. To założenie wyznacza zarówno drogi robotniczego zdobywania wiedzy, jak i stosunek do dorobku naukowego burżuazji. W życiorysie robotnika walka o dostęp do burżuazyjnej szkoły zajmuje niewiele miejsca. Jest to zarówno skutek sytuacji życiowej proletariackiego dziecka, jak z drugiej strony —pełne docenienie możliwości kształcenia, jakie daje rewolucyjna praktyka klasy. Stąd takie pojęcie jak „szkoła walki klasowej“, lub nazwa „uniwersytetu proletariackiego“, nadawana celi więziennej, to nie jest metafora pusta, ani też odnosząca się wyłącznie do politycznego wyrobienia proletariusza. Jak pewien poziom oświaty konieczny jest proletariuszowi dla osiągnięcia pełnej świadomości klasowej, tak z drugiej strony —pogłębienie jej przez praktyczny udział w walce stanowi niezbędny etap także i w pracy nad podniesieniem poziomu jego wykształcenia ogólnego. Nadaje kierunek pracy samokształceniowej, chroni przed chaotycznym kolekcjonerstwem ułamkowym, niepowiązanych lub przeczących sobie wiadomości, uczy krytycyzmu i przyswajania tylko tego, co istotnie twórcze i postępowe. Olbrzymek w celi więziennej, przedzierający się przez stronice „Kapitału“, dzięki swym praktycznym wiadomościom o „wartości dodatkowej“, uzyskanym w czasie walki strajkowej z przedsiębiorcą piekarskim i Olbrzymek nad poematem Firdusiego wypowiadający oburzenie, że proletariat odcięty jest od możliwości poznania najpiękniejszych przejawów kulturalnej tradycji ludzkości — to symbol roli, jaką dążenie do nauki gra w życiorysie robotniczym.

Inaczej przedstawia się sprawa pamiętnika chłopskiego — takiego, jakim przekazała go tradycja 20-lecia. Różni się on od pamiętnika robotniczego o tę ideową odległość, jaka dzieli pozycje świadomego rewolucyjnego proletariatu i mas chłopskich borykających się w jarzmie kapitalizmu, a nie widzących żadnej realnej drogi zmiany istniejącego stanu rzeczy, poza indywidualnymi perspektywami — bogatego ożenku, ciułactwa lub kariery „pańskiej“ w mieście. Stąd w pamiętniku chłopskim, stąd w tzw. chłopskiej powieści 20-lecia, obrazującej los człowieka wsi, zasięg reprezentatywności losów bohatera był bardzo ograniczony.

Struktura wsi kapitalistycznej, ujęta w znanym wzorze Marksa: **„Parcela, chłop i rodzina; obok inna parcela, inny chłop i inna rodzina. Kopa tego stanowi wieś, a kopa wsi jest departamentem...“,** zacofanie i prymitywizm gospodarki chłopskiej; niesłychany nacisk reakcyjnych ideologii, podtrzymywanych autorytetem kleru; tradycja ruchu ludowego słabego w swym klasowym nurcie biedniackim, silnego w „piastowym“ odłamie, prosperującym pod patronatem kułacko - księżnym; agraryzm i Ul-owowiciowa „walka o duszę chłopską“ — to były potężne zapory, utrudniające dziecku biedniackiej wsi zdobycie rewolucyjnej świadomości. Droga buntu przeciw zwierzęcemu bytowaniu chłopa i jego społecznemu poniżeniu układała się jako próba ucieczki od warunków, które to życie określały lub jako walka o osiągnięcie „duchowej wyższości“, która mogłaby, choć na tym planie, równoważyć poniżenie społeczne.

Stąd życiorys chłopa z okresu dwudziestolecia, to także często walka nie z ustrojem, lecz z koniecznością „wyrzucania gnoju“; to bardzo często historia indywidualnej próby ominięcia praw ustalających życie klasy — nie zaś historie życia i dążeń klasy, historia jej walki o wyzwolenie. Stąd w życiorysie chłopskim decydującą rolę odgrywa sprawa nauki rozumianej jednak zupełnie inaczej, niż przez świadomych przedstawicieli proletariatu. W życiorysie dziecka chłopskiego ogromną wagę posiada sprawa formalnego uzyskania kwalifikacji naukowych — samouctwo jest z jednej strony wprawdzie powodem dumy, z drugiej jednak stwarza i w oczach wsi i samouka przekonanie o drugorzędności wiedzy zdobytej tą drogą. Podobnie i ludzie niedouczeni, zmuszeni do przerwania nauki przed jej ukończeniem, są przedmiotem drwin wsi i rozpaczy rodziny. Pierwszorzędną rolę gra bowiem użytkowa rola nauki szkolnej, jako środka uzyskania dostępu do zawodów inteligenckich, dających dziecku chłopskiemu możliwości osiągnięcia wyższej stopy życiowej i podźwignięcie całej rodziny. Książka w ręku robotnika była słusznie uważana przez stróżów porządku za zjawisko równie niebezpiecznie jak dynamit. Książka w ręku chłopa w obrazie przekazanym przez autobiografie 20-lecia wiązała się często z oportunistyczną chęcią przystosowania się do wymagań ustroju, dociągnięcia się do ideałów kulturalnych burżuazji; krytycyzm zatrzymywał się na szczeblu „Janka Muzykanta“ Sienkiewicza. Podobnie kształtował się stosunek do burżuazyjnej nauki i kultury, bezkrytyczny, protestujący najwyżej przeciw uderzająco silnym reliktom ideologii feudalnej — jak protesty młodzieży wiejskiej, że w zakresie historii nie uczą się dzieci chłopskie dziejów swej warstwy, lecz, że narzuca im się przekonanie, jakoby tradycja szlachecka wyznaczała jedynie cenny i wartościowy nurt kultury narodu.

To stanowisko wydało też szereg pozycji powieściowych, w których problemy wsi dwudziestolecia występowały przez pryzmat odczuć i konfliktów inteligenta w środowisku wiejskim („Orka na ugorze“ Wiktora. „Młodość Jasia Kunefała“ Piętaka, „Spowiedź“ Mortona, czy późniejsze, ale wyrastające z tegoż nurtu ujęcia Dunarowskiego a nawet Goździkiewicza). Sprawy walki o szkołę, zwycięstw i klęsk, późniejszych możliwości życiowych inteligenta pochodzenia chłopskiego były osią tego nurtu literackiego, nie stanęły jednak nigdy wobec jasno pod względem klasowym i politycznym zarysowanego problemu miejsca inteligenta w toczącej się walce wsi o wyzwolenie społeczne, jak to miało miejsce np. w „Ziemi w jarzmie“ Wasilewskiej.

Współczesna powieść o tematyce wiejskiej nie zrealizowała jeszcze poważnego zadania ukazania wsi dwudziestolecia, jej klasowej struktury, toczącej się w niej walki politycznej i nurtujących ją kierunków ideowych. Kronikę biedniackiej udręki wsi małopolskiej wniósł do naszej literatury Pogan; Gałaj pokusił się w pewnych partiach „Mystkowic“ o zobrazowanie życia politycznego wsi łowickiej — utopił jednak sprawę w balaście naturalistycznych obrazków i niezdyscyplinowanego gawędziarstwa. Sprawa pozostaje więc wciąż jeszcze otwarta.

Tym większe zainteresowanie budzić musi wydana niedawno powieść Stanisława Orła*).

„Pod Łysicą“, to fragment cyklu autobiograficznego zakrojonego na szerszą skalę. Spory tom relacjonuje historię kilku lat życia Staszka Jastrzębia, zamykającą się między zaliczeniem dzieciaka „do osłów“, czyli przyjęciem go do I oddziału szkoły powszechnej, a wyprawą do szkoły miejskiej, po ukończeniu siedmiu oddziałów i przerwie spowodowanej koniecznością służby u kułaka w sąsiedniej wsi. Dalsze losy chłopca, to już sprawa następnych tomów. Pierwszy — zawiera więc sprawę edukacji wiejskiego chłopca między 7 a 15 rokiem życia i obraz stosunków na wsi kieleckiej, widzimy oczyma „pastucha“. Wobec wyłączności tej dziecięcej perspektywy trzeba pamiętać o autorskim zamierzeniu kontynuowania cyklu, co niewątpliwie rozszerzy ogólne horyzonty powieści, ale też — na teraz zmusza do pewnej ostrożności w formułowaniu recenzyjnych wniosków w odniesieniu do opublikowanej części cyklu.

Tradycje, z jakich wyrasta książka Orła, są dość różnorodne; z jednej strony stanowią je z pewnością wątki spotykane w życiorysach chłopskich dwudziestolecia, z drugiej jednak niewątpliwie współdziałał tu warsztat realisty socjalistycznego, wnosząc nowe ujęcia, nowy typ konfliktu, nowe, wyczuwalne już perspektywy losów bohatera.

Spróbujmy zestawić to, co jest wynikiem schematu starego, utrwalonego w zapisie nieliterackim, będącym skutkiem tych zwężeń i zaciemnień świadomości, jakie wywołały warunki życia chłopskiego w 20-leciu.

W głównej mierze wysuwać się tu będzie na plan pierwszy dominujący **osobisty** tok relacji, który u pamiętnikarzy wynika oczywiście z założeń gatunku, ale jest także skutkiem nieumiejętności należytego wyboru zjawisk, czy też ich pełnej typizacji. Usuwa to w cień wszystkie inne postacie akcji, wprowadzając je o tyle tylko, o ile wiążą się one w sposób bezpośredni z głównym tokiem losów bohatera. Ich miejsce w akcji, stopień ich indywidualizacji wyznacza nie obiektywne znaczenie reprezentowanych przez nie sił historycznych, lecz bezpośredni związek z osobą bohatera. Dotyczy to np. postaci gospodarza Gryzonia, u którego służy Staszek z jednej strony, a z drugiej — jego opiekuna i nauczyciela w tym okresie — wiejskiego komunisty Kandydera. Gryzonia narzuca autor uwadze czytelnika przez tysiące drobnych, uprzykrzonych szykan, jakie na każdym kroku musi wycierpieć pastuch, przez pełne tupetu rozpychanie się łokciami wiejskiego potentata, przez fakt bezpośredniej zależności bohatera od jego woli i kaprysów. Kandyder pojawia się w akcji niebywale migawkowo, występuje tajemniczo, tylko kilkoma radami i książkami oddziaływuje na bohatera, wreszcie znika aresztowany. **„Bo swoi biedy mioł za mało i cudzą się interesowal“** — komentuje to wieś. A przecie niewątpliwie w zamiarze książki leży wskazanie, że kilka uwag Kandydera wytycza w ogromnej mierze postawę ideową i moralną Staszka, staje mu się początkowo jeszcze niezrozumiałym, ale instyktownie przyswojonym kryterium oceny ludzi i zajwisk. **„Prawda beła Kandydera“** to ma być polityczny sens tomu.

Oczywiście jednak przy takim ustawieniu toku relacji, obiektywna racja Kandydera nie przemówi z pełną wyrazistością z doznań czternastoletniego wyrostka, autor zaś zamknął sobie drogę ukazania, w jaki sposób Kandyder interesował się bliżej „cudzą biedą“, w jaki sposób oddziaływał na masę biedniacką. Kułak przyćmiewa nosiciela „nowego“

Drugą cechą zbliżającą autobiografię Orła do typu ujęcia właściwego postawie pamiętnikarzy i „pisarzy chłopskich“ 20-lecia jest podporządkowanie planu powieści perypetiom walki o szkołę, traktowaną jeszcze w ogromnej mierze jako droga indywidualnego „wyjścia ze wsi“. Stosunek do „drugiego świata“, reprezentowanego przez kułackiego syna i gości dziedzica, jest chwilami chwiejny: **„Nigdy chyba nie przejdę do tego drugiego świata. Choćbym nawet do szkoły poszedł do miasta, chociażby...“** — brzmi to jak rozżalenie i zazdrość. Toteż szkoła nie rysuje się Staszkowi w innych perspektywach, niż jego ojcu, pełnemu fantazji i nierealnych pomysłów „pijokowi i bijokowi“, który na pięciu morgach wyznaczył każdemu z synów świetną przyszłość: **„Na Kazika powiedział ojciec, że musi być księdzem, ksiądz ma zawsze co jeść, to i ojcom będzie lepiej... Księdzem to i ja chciałbym być. Nic taki „ojciec duchowny“ nie robi, po „ochwiarze“ chodzi i wszyscy go w rękę całują... Ja miałem być nauczycielem i to takim samym jak Ciarupa. Tak postanowił ojciec. Początkowo to mi się nawet podobało. Będę sobie chodził po klasie i — łup linią po łapie, buch książką po głowie lub wykręcę za ucho, postawię za karę na kolanach...“** Nawet mały Jurek miał być w planach starego Jastrzębia doktorem. Dlatego też później sprawa wyboru zawodu, gdy istniała jeszcze szansa nauki dla Stacha, nie jest problemem pierwszorzędnym. Siedmiolatkowi podoba się zawód... biskupa, później nauczycielstwo radzi rodzicom wybitnie zdolnego ucznia, by pchali go na doktora, a w momencie, gdy życie niszczy ambitnie plany Jastrzębia „powraca znowu marzenie, żeby chociaż na nauczyciela“. Ważny bowiem jest moment „wyjścia ze wsi“, ucieczki od bydlęcych warunków jej życia.

Podobnie wyraźny związek ze starym schematem „budzenia się samodzielności myślowej bohatera“, (tak częstym w ujęciach „wiciowych“) wykazuje kolejny rozkład „autorytetów“, przeprowadzony w powieści: demaskująca ojca, nauczyciela, księdza, dziedzica, bogatego gospodarza — tych przedstawicieli różnego typu władzy i obowiązujących norm życiowych, którzy naginają charakter i dążenia dziecka według swej woli. Na tym jednak polu właśnie wkraczają najżywotniejsze **elementy nowego, klasowego i realistycznego widzenia rzeczywistości,** które w ostatecznym rozrachunku odgrywają w książce Orła rolę decydującą i rozstrzygającą o jej wartości.

Zdemaskowanie nauczyciela, księdza, kułaka i obszarnika ma bowiem charakter zdecydowanie klasowy, jest zdemaskowaniem instytucji i ich funkcji w ustroju — nie zaś osobistych podłostek i śmiesznostek jednostki, służy gromadzeniu społecznego doświadczenia bohatera — rysuje oblicze „drugiego świata“ i uczy świadomej nieprzejednanej wrogości. Mimo wszelkich zachwiań ideowego pionu bohatera, ostateczną konkluzją rozmyślań o „drugim świecie“ stanowi marzenie wywijającego batem pastucha — **„śmignąłbym ich wszystkich, cały ten drugi świat“.**

Klasowe widzenie rzeczywistości dominuje w powieści zdecydowanie, realizuje się zaś najpełniej w dwóch epizodach, które stanowią szczęśliwe rozszerzenie osobistej historii pastucha — obrazach zorganizowanych akcji wsi biedniackiej, mających na celu pokrzyżowanie planów kułackich (wybory gajowego chłopskiego lasu) oraz protest przeciw lekceważącym i samowolnym wystąpieniom dworu (zatarg o polowanie). Potem zaś autor stawia już Staszka samego w sytuacjach walki klasowej z Gryzoniem — gdy usiłuje on wszelkimi sposobami pomóc jego dłużnikom lub udaremnić lichwiarskie praktyki. **Jemu wolno będzie was ze skóry obdzierać, a nam nie“** — mówi Stach dosypując biedniaczce z czubem gospodarskiego zboża. **„Powiedziało mi się „nam“ samo i siły mi się potroiły, gdy zadawałam Wawrzkowej worek na plecy“.**

W taki sposób dokonuje się ostateczne skrystalizowanie klasowej postawy Stacha, jego klasowej solidarności z biedniakami, jako moralnej podstawy stosunku do życia. Tym samym więc pisarz przełamuje stary schemat „szkoły“ i zbliża się do konstrukcyjnej osi autobiografii „świadomej“, „robotniczej“ — do obrazu narastania rewolucyjnej postawy bohatera. Tom „Pod Łysicą“ ukazuje nam wstępny, prymitywny jeszcze etap kształtowania się tej świadomości, zaś naleciałości starych ujęć w wielu wypadkach paraliżują jego wymowę, niemniej problem został postawiony właściwie. W ten sposób „szkoła“ staje się i okres pasionki czy parobkowania u Gryzonia; funkcje nauczycielskie obejmują zaś ścierające się wpływy parobka Wicka i Kandydera. Wicek uczy taktycznego konformizmu (**„Nie twój chleb jes, to musis robić, co ci kozo..., ale swoje se myśl, boś słaby i kozdy cie ukrzywdzić moze“**), a gdy przeciągnięta przez kułaka struna pęknie — anarchicznego ale dotkliwego dla bogaczy buntu. Kandyder uczy: **gdy się wszystkie parobki w kupe wezno, gdy robić u tych psickrwiów przestano to uny z głodu zdechno“.** Zaś Alek co był „u bolszewików“, podsuwa Stachowi inne uzasadnienie wędrówki do szkoły niż kariera „chociaż nauczyciela“: **„Twardych ludzi na nich trzeba i mądrych“.**

Pewne osłabienie tej słusznej ideowo i artystycznie linii motywującej i konstrukcyjnej, jaką jest **klasowa edukacja biedniackiego dziecka,** to w dużej mierze wina ulegania starym błędom ujęcia „życiorysu chłopa“. I w dużej mierze także wina ulegania tradycji burżuazyjnego opisu „lat szczenięcych“, tak widocznego zwłaszcza w części „Dziecko“. Zasadniczy błąd tkwi tu w porporcji. Pryzmat dziecięcej naiwności w ocenie świata może być przy dużej czujności autora dobrym chwytem, ironicznie wypunktowującym pewne elementy obrazu rzeczywistości. Jako punkt widzenia jedyny kryje w sobie bardzo wiele niebezpieczeństw spłycenia i sprymityzowania wiedzy o życiu. Uniknąć tego można tylko przy specyficznym ustawieniu tematyki i tu prawie za wsze uzupełniać trzeba obserwacje dziecka normalną perspektywą „dorosłego człowieka“.

Właściwe rozwiązanie tego problemu dają liczne powieści radzieckie, osnute na tematyce dziecińostwa. Tu jednak jako zasadniczy problem wysuwa się wykazanie wychowawczych walorów radzieckiego życia (.Dwaj kapitanowie“ Kawerina) czy pełnego świadomego odpowiedzialnego udziału radzieckich dzieci i młodzieży we wspólnej gospodarce („Stepowe słońce“ Pawlenki). I tutaj też powieści takie potrafią dać szerszy obraz rzeczywistości (np. „Samotny biały żagiel“ Katajewa), niż to ma miejsce u Orła.

„Pod Łysicą“, książka zamykająca się całkowicie w granicach doświadczeń piętnastolatka (skoro nie mamy jeszcze pełnego cyklu recenzent nie ma prawa wierzyć autorowi na kredyt, że sprawy te ustawi pełniej i bogaciej w następnych tomach), razi wyraźnie tym naruszeniem proporcji. Tu tkwi także przecież przyczyna mglistości postaci Kandydera, skoro — i słusznie — Stach nie bardzo nawet powtórzyć umie rozmowy z nim. Tu tkwi przyczyna ubóstwa politycznego oblicza wsi. Naiwna relacja z opowiadań Alka z czasów wojny interwencyjnej ze Związkiem Radzieckim oraz słowa tegoż Alka o przewrocie majowym — **„Prezydenta usunęli, sejm rozpędzili, wszystko w swoje ręce zagarnęli, a naród, jak te barany — cicho siedzi“** — słowa padające ubocznie, notowane w pamięci mechanicznie, nie wywołujące głębszych, samodzielnych przemyśleń chłopca, ani zmiany w obserwowanym przez niego życiu wsi — oto, co dociera do książki z bogatej problematyki politycznej epoki.

Dalsze losy Stacha Jastrzębia zapowiadają dwa zdarzenia: podróż na egzamin, która stawia dzieci chłopskie twarzą w twarz z problematyką miasta: **„Patrzymy z Agatą bez słowa: Fabryki miasto i my“** — oraz reakcja chłopca na wieść o aresztowaniu Kandydera — **„Ode mnie radość uleciała. Nowe życie zaczynało się znów od zagadek“.** Wartość dalszych tomów powieści Stanisława Orła zależy od tego, w jakim stopniu „fabryki i miasto“ wytłumaczą Stachowi „zagadkę“ aresztowania Kandydera. W jakim stopniu tematyka wzrastania rewolucyjnej świadomości bohatera zapanuje i pozwoli autorowi ukazać w sposób pełny i bogaty najistotniejszy, najgłębszy nurt spraw epoki.

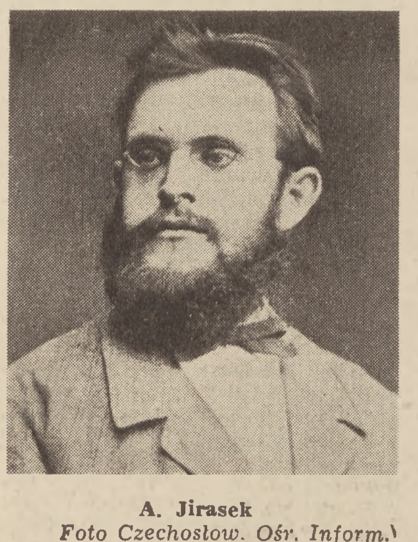
Debiut powieściowy Stanisława Orła należy do bezsprzecznie udanych. Wykazywany w recenzji nacisk starych schematów osłabił tylko, lecz nie zniszczył tego, co jest podstawową wartością książki: od dawna oczekiwanego klasowego obrazu losu bohatera z biedniackich mas chłopskich w okresie 20-lecia, losu, który wyjaśnić nam powinien drogi, jakimi masy te szły do pozycji sojusznika proletariatu w dziele budowy socjalizmu.

Maria Żmigrodzka

*) **Stanisław Orzeł, „Pod Łysicą“, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1951 r**

BRONISŁAW CIRLIĆ

ALOJZY JIRASEK —



A. Jirasek
Foto Czechosłow. Ośr. Inform.

Gdy w stulecie urodzin wielkiego pisarza i patrioty czeskiego — Alojzego Jiraska (1851—1930) wspominamy życie, dzieło i zasługi wybitnego twórcy, trudno nie napomknąć czytelnikom i o jego stosunku do Polski i Polaków. Na przełomie wieków Jirasek uważany był w Czechach za jednego z największych przyjaciół narodu polskiego, oddanego gorąco sprawie współpracy i porozumienia czesko-polskiego. Nie dziwi więc nas fakt, że przed trzydziestu laty Zdzisław Dębicki, kreśląc w „Tygodniku Ilustrowanym“ sylwetki „siedmiu największych przyjaciół Polski nad Wełtawą“, na pierwszym miejscu umieścił Alojzego Jiraska. Sam zaś Jirasek mówił o sobie: *„Jestem gorliwym wyznawcą porozumienia polsko-czeskiego, jak również od wczesnej młodości zapalonym miłośnikiem sławnego piśmiennictwa polskiego“.*

Pierwszy raz zetknął się bliżej Jirasek ze sprawą Polski i Polaków podczas powstania styczniowego jako uczeń gimnazjum. Słyszał wtedy o zaciętych bojach powstańców i ich przywódcach. Zresztą całe postępowe i narodowo uświadomione Czechy były głęboko poruszone wydarzeniami w Polsce. W 1867 r. przyszły pisarz przeniósł się do wyższych klas gimnazjalnych do Hradec Kralowe, dokąd to rząd austriacki internował blisko 900 powstańców z Galicji. Uwięzieni Polacy często przekradali się do miasta, odwiedzając sprzyjające im rodziny hradeckie. Często uciekali z więzienia pojedynczo lub grupami, wspierani przez uczniów i ludność okoliczną. Wielkie skupisko powstańców polskich jeszcze bardziej sprzyjało polonofilskiej atmosferze, która i tak ożywiała to miasto. Wtedy to wielu uczniów poświęca się nauce języków słowiańskich. Alojzy Jirasek przylgnął do polszczyzny, której zaczął się uczyć z bardzo wówczas popularnej „Krótkiej gramatyki polskiej“ D. A. Szpachta. Już wtedy zaczyna czytać polskie książki, których młodym polonofilom dostarcza ich kolega, Franciszek Jaresz. Tą drogą dostały się do rąk młodego Jiraska wiersze Brodzińskiego, Malczewskiego, Mickiewicza, Słowackiego i Syrokomli. Ulubione zwrotki skrzętnie zapisywał do specjalnego albumu, który zachował do końca życia. Co do powieści polskich takich autorów jak: Józef Korzeniowski, Henryk Rzewuski, Michał Czajkowski i J. I. Kraszewski, to czytał je przeważnie w przekładach czeskich Fr. P. Volaka oraz F. L. Vorliczki.

Alojzy Jirasek zachował i później żywe zainteresowanie wszystkim, co w jakikolwiek sposób dotyczyło Polski. Jako nauczyciel gimnazjalny uczestniczył w uroczystości przyjęcia na ziemi ojczystej zwłok czesko-polskiego poety Bolesława Jabłońskiego, rodem Czecha, który od 1847 r. mieszkał w Krakowie na Zwierzyńcu i tamże zmarł w 1881 r. Do ojczyzny sprowadzał zwłoki poety Edward Jelinek, znany popularyzator kultury polskiej w Czechach i czeskiej w Polsce, który opowiadał wówczas Jiraskowi o Polakach, o ich serdeczności dla narodu czeskiego, czego Jirasek nie omieszkał zapisać w swym pamiętniku. Na terenie Pragi zaś bliżej się stykał pisarz ze znanymi wielkimi przyjaciółmi narodu polskiego, wspomnianym już Jelinkiem, Adolfem Czernym i Franciszkiem Kwapilem. Przez całe życie zachował Jirasek dla Polaków niczym nie zmąconą przyjaźń i sympatię, podziw dla ich walk narodowych i rewolucyjnych, dla ich literatury i kultury.

Pierwszy ślad tego stosunku do Polski i Polaków napotykamy w opowiadaniu „G o ś ć“ 1) z 1875 r. Podnietę do napisania tego utworu dało mu spotkanie z Polakiem, oficerem w wojsku pruskim, który w czasie wojny prusko-austriackiej 1866 r. i bitwy na wzgórzu Branka w Górach Orlickich pod Nachodem był g o ś c i e m w domu Jirasków w Hronowie. Jirasek odmalował tu tragedię Polaka, ginącego w interesie swoich ciemiężców.

W pięć lat później w powieści „U r o k i ś w i a t a“ 2) znowu wraca Jirasek do Polaków. Akcja powieści toczy się w stolicy Austrii w epoce Kongresu Wiedeńskiego (1815 r.), który miał uregulować zagmatwane stosunki europejskie, a przyniósł ostatecznie reakcyjne „Święte Przymierze“. Ośrodkiem zainteresowań Jiraska jest tu polska rodzina, przebywająca w Wiedniu podczas Kongresu, opisana przez autora z największą sympatią.

Biografowie Jiraska, krytycy jego dzieła i historycy literatury oraz polscy kronikarze pominęli fakt, że Jirasek swych „P s i o g ł o w c ó w“ 3) pośrednio poświęcił Polakom i braterstwu polsko-czeskiemu. Kimże byli ci Psiogłowcy czyli Chodowie?

„Historycy badają źródło ich pochodzenia“, powiada T. Szabłowski, „powieściopisarze opisują ich dolę i niedolę, poeci, (w ich krainie Schiller swych „Zbójców“ umieścił), malarze i muzycy szukają pośród nich natchnienia do swoich arcydzieł... Tak, to — Polacy!“ 4) Otóż za czasów wojen polskich Mieszków i Bolesławów z czeskimi Bolesławami i Brzetysławami uprowadzono wzajemnie licznych jeńców na osiedlenie. Mówią to zgodnie kronikarze czescy: Dalimil, Kozma Praski, Hajek z Liboczan. Potwierdzają w nowszych czasach historycy czescy, podróżnicy polscy i czescy, popularyzatorzy wiedzy o słowiańszczyźnie. Wspomnijmy dla przykładu: Jelinka, T. Szabłowskiego, Kołodzieja i innych. Na przełomie wieków pisały o tych sprawach zwłaszcza: „Dziennik Poznański“, „Kraj“, „Tygodnik Ilustrowany“, „Nowa Reforma“, „Kłosy“. Książę Brzetysław I (1037—1055), zwany Achillesem czeskim, który miał przywieźć



Chodowie w strojach ludowych

JAN JANKOWSKI

Wspomnienia robotnicze)*

BEZNADZIEJNE LATA

W dwa tygodnie po pogrzebie matki pochowali niemowlę. Brzezinę ta śmierć zaskoczyła. Piotr słyszał, jak mówił babci, że to siostra matki zamorzyła dzieciaka. — „Gdybym jej dał zabiedzone prosię, umiałaby je odchuchać, ale dziecka po siostrze, chociaż chłopak był jak rydz, zmarnowała“.

Za białą trumienką szli tylko najbliżsi. Prószył śnieg i topniał na mokrej ziemi.

Po powrocie z cmentarza spożyli po talerzu brukwi z żeberkiem. Brzezina korzystając z wolnego dnia wyciągnął wózek i zabrawszy syna pojechał przesiewać żużel, bo nie było opału. Przy pomocy rozstawnego sita przesiewali żużel do zmierzchu. Piotr przykucnąwszy na piętach, wybierał szlakę i kamuszki.

Pod wieczór zerwał się wiatr nasiąkły deszczem i porywistymi podmuchami ciął im twarze. Pochylili twarze i parli naprzód. Wózek tylko podskakiwał na kocich łbach.

Wrócili do domu zziębnięci na kość.

— Dużoście przesiali? — zapytała babcia. Siedziała przy lampie naftowej i robiła pończochę, której matka nie zdążyła dokończyć.

— Dobre dwa worki...

Skrzywiła się.

— Bez węgla i tak się nie będzie palić...

— Pójdę dziś, może coś urwę, umówiłem się z Marchewką...

— Człowieku, trzecią noc marnujesz! Kiedy się wyśpisz?

—Co robić, pilnują... Brzezina rozcierał zesztywniałe palce. — Roboty teraz też pełne ręce, aż się koszula do skóry lepi. Zdewastowali prawie cały tabor kolejowy.

— Potrzebny był ten strajk. Ludzi w większą jeszcze biedę wpędzili.

— Potrzebny, niepotrzebny, w końcu robiliby z człowiekiem, co by chcieli...

Staruszka odłożyła pończochę, wyjęła moczące się od rana dwa śledzie, ułożyła na półmisku, wkroiła cebulę, zalała wodą i octem i odstawiła na okno, zabierając się do płukania kartofli w łupinie.

Dzieciarnia śledziła każdy ruch jej rąk, przełykając ślinę. Był piątek, jedyny wieczór w tygodniu, kiedy mieli nadzieję najeść się do syta. Niestety, często ową mizerną nadzieję niweczyła przygrzana z obiadu kartoflanka. Działo się tak, zwykle przed pierwszym...

Brzezina podkręcił lampkę.

Podkręcaj, podkręcaj, a nafty tylko tyle, co w lampie! — odezwała się starowina.

— Co robić, kiedy ciemno...

Deszcz począł siec o szyby, w kominie huczał wiatr. Dzieciom serca ścisnęły się nagłą, niewypowiedzianą żałością. Na kominku w garnku perkotały kartofle. Staruszka nadziała jeden na widelec, skubnęła palcem łupinkę.

— Już doszły.

Brzezina wstał. „Dajcie spokój — odleję“. Para zapełniła kuchnię. Wysypała kartofle do miski i postawił na stole. Staruszka rozdzieliła śledzie, każdemu z osobna na talerzyk, dolała rozcieńczonego octu z cebulką. Wyciągali ręce po mlecze i ikrę. Niewiele tego było Ale im oczy śmiały się do uczty. Kartofle parzyły palce. Nie zważali na to. Obierali je z wielką wprawą i pochłaniali łapczywie zagryzając śledziem, ale ostrożnie, żeby starczyło do końca...

— Ho! ho! bogato u nas, nie tak jak u murarzy! — zaśmiał się Brzezina.

— A jak jest u murarzy? — zapytała Basia z buzią pełną jedzenia.

— Jak? A to nie wiesz głuptasku! Otóż z pierwszym mrozem kupują śledzia i wieszają nad stołem, na sznurku, dla smaku...

— Dlaczego? — zdziwiła się Jadwisia.

— Bo w zimie nic się nie buduje, murarze nie pracują i nie mają nawet na śledzia. A wy, jeszcze grymasicie, jeszcze narzekacie, że wam źle.

Babcia przeżuwała kartofle i papką karmiła maleństwo, bo nie było mleka. Koza lada dzień miała się okocić...

Znienacka gwałtowny podmuch wichru z trzaskiem rozwarł drzwi w korytarzu i zahuczał w sieni. Wzdrygnęli się wszyscy. Brzezina podszedł zamknąć drzwi.

— Psia pogoda! — mruknął wróciwszy i począł przybijać łatkę.

— Ej, musi jej tam być straszno, pod tymi drzewami na cmentarzu, taka była bojaźliwa — zaszlochała nagle staruszka. Ścisnęli się wokół lampy.

Deszcz czy grad znowu zadzwonił o szyby.

Dzieci wpatrzyły się w okno znieruchomiałymi oczyma.

Piotr huśtał Zochę na kolanie. Grymasiła nieco.

— Trzeba ją położyć — odezwał się ojciec, jest śpiąca, już oczka mruży.

— Zaraz, zaraz, tylko żywiznę nakarmię — odpowiedziała staruszka, przyrządzając pokarm dla wieprzka i kozy.

Wzięła ze stołu lampę — chodźcie też spać dziewczęta, ósma dochodzi. Ociągały się. — Nie bójcie się, zostanę przy was.

Zapanowała cisza. Zegar ścienny tykotał jednostajnie.



Tłumy bezrobotnych przed fabryką (1936 r.)
Laboratorium fot. Wydz. Hist. Partii KC PZPR

— Całe mają trzewiczki, całe! — mruczał Brzezina z ironią, oglądając obuwie córek. — Jak to łażą, powiedziałby kto, że umyślnie nogi wykrzywiają, aby prędzej podrzeć. Ot dziewuchy! Ale niech się tylko ociepli, boso będą chodzić! Nie będę sobie głowy suszył, kiedy nie chcą mnie słuchać!

Piotr zasłonił uszy i pochylony nad książką cicho poruszał ustami. Brzezina zajrzał mu przez ramię.

— Tak to lekcję odrabiasz? Co to za książka? — odwrócił kartę tytułową. — Szwo... szwo-le-że-rowie g... gwardii — sylabizował.

— Przecież to nie czytanka. Nie wstyd ci ojca oszukiwać! Śliniąc palce odwrócił kilkanaście kartek. Zainteresował się ilustracjami.

— Poczytaj trochę.

Chłopak odetchnął z widoczną ulgą. Miał nadzieję, że kiedy ojciec się zasłucha, zapomni o nafcie i pozwoli mu poczytać nieco dłużej..

— Czyta jak ksiądz z ambony!— odezwała się babunia, budząc się znowu z drzemki przy wygasającym piecu — szkoła tylko, że byle co... Za moich czasów w wieczory zimowe, przy kołowrotku, albo darciu pierza, czytało się żywoty świętych. To była książka! Gruba jak mszał, w czerwonej okładce o złoconych brzegach. Czytało się ją całymi latami.

— Bajcie! Czytało się i świeckie książki. Pamiętam, że ojciec miał Sowizdrzała i pół skrzyni kalendarzy Kulerskiego...

Brzezina zamyślił się.

— Po prawdzie takich kalendarzy dziś już nie potrafią drukować. Nieraz pół wsi schodziło się do nas. Ile to było śmiechu. Weselsze były czasy. Ludzie żyli gromadniej, społeczniej, a dziś każdy z osobna jak wilki.

Wybiła dziesiąta. Ktoś zapukał do okna. Aż ich poderwało.

— Eh, to Marchewka, powiedział Brzezina, wyjrzawszy przez szybę.

— Zaraz, zaraz, już idę! — Nasadził czapkę i obejrzał się za workiem.

— Leży za szafą. Nie dajcie się tylko złapać!

Brzezina wsadził worek za pazuchę, wsunął do kieszeni kawałek sznurka, machnął ręką na pożegnanie i wyszedł.

Piotr obejrzał się na babcię. Znowu drzemała przy piecu. Zagłębił się w lekturze. Niosła go w świat barwy, rozległy pełen przygód. Staruszka zasnęła na dobre Zegar mierzył niestrudzenie czas jednostajnym tik-tak! Chłopiec od czasu do czasu unosił głowę, nasłuchiwał i niespokojnie spoglądał na okno.

Minęła północ, kiedy z podwórza usłyszał odgłos kroków, rozległ się łomot upadającego worka, a potem hurkot brył spuszczonych przez okienko do piwnicy. Odetchnął. „Dobry węgiel, w kawałkach“! — przemknęło mu przez głowę...

Do kuchni wszedł ojciec...

— Jeszcze nie śpicie? — zapytał, wycierając twarz i kark fularową chustką.

Staruszka ocknęła się.

— A to huncfot, mówiłam, żeby się położył! Chłopak nieusłuchany! — Do łóżka ani z łóżka batem go nie wygnać! A wam jak poszło? — mrugnęła zaczerwionymi oczyma.

— Przyniosłem worek, ale pilnują psiawiary. Strzelali za nami.

— Jezu Maria! Bój się Boga? Człowieku!

— No nic się nie stało. Noc ciemna, że nosa nie widać. Ale Marchewka worek zostawił, z pustymi rękoma wrócił, — mówiąc to Brzezina oglądał skaleczoną rękę.

— A tobie co w rękę! Całą skórę masz zdartą!

Przewróciłem się o druty. Kolano też dobrze stłukłem! Otarł krew o manchastrowe spodnie.

— Jak tam z pogodą?

— Przestało padać i ma się na mróz. Warto byłoby jeszcze raz obrócić!

— Daj spokój. Złego nie trzeba kusić! Z sieni doszło ich astmatyczne sapanie. Przez uchylone drzwi ukazała się nalana, o ciemno - oliwkowej cerze, twarz Marchewki.

— No idziesz, Janie?

— A bo ja ci wiem... podrapał się za uchem, a ty chcesz koniecznie?

— Przecież worka im nie zostawię, worek jak nowy, szkoda.

— Znajdziesz go w tej ciemnicy?

— Pamiętam drogę, wymacam.

— Wejdźcie do kuchni, nie stójcie w sieni — zapraszała staruszka.

— Nie będę wam błocił, zaraz idziemy...

Brzezina sięgnął po czapkę.

— Kusi cię jednak?

— Co robić, nie zawsze jest okazja, a we dwóch raźniej.

Jan Jankowski

PRZYJACIEL POLAKÓW*)

do Pragi zwłoki św. Wojciecha, uprowadził w r. 1039 z miasta Giecza (alias Gdecza, dziś wioska w pobliżu Środy, w woj. poznańskim) pewną liczbę miejscowej, polskiej ludności do Czech i osiedlił ją w okolicach miasta Domażlic, nad granicą bawarską. Osiedleńców używano w tamtejszych puszczach pogranicznych do karczowania lasów oraz do ochrony granic w charakterze strażników leśnych. Nazywano ich Chodami, bo ze swymi psami chodzili ciągle po szczytach Szumawy wypatrując wrogów. Polacy sprowadzeni do Czech rządzili się na podstawie osobnego przywileju prawem polskim. W r. 1325 Jan Luksemburczyk zamienił ich prawo polskie na prawo niemieckie, ale mimo to korzystali Chodowie z licznych przywilejów. Późniejsze losy Chodów czyli Psiogłowców ulegały różnym przemianom, bywali zastawiani, sprzedawani i odsprzedawani. Los ich przybrał jednak szczególnie nieszczęśliwy obrót po bitwie pod Białą Górą, w której Chodowie, jako wierni poddani króla czeskiego, stanęli zdecydowanie po jego stronie. W wyniku klęski kraj chodzki został splądrowany, wsie zniszczone i spalone. Chodów jako buntowników pozbawiono dawnych praw i przywilejów i sprzedano feudałowi niemieckiemu Wolfgangowi Wilhelmowi z Lamingen. Chodowie mimo nakazu „perpetuum silentium“ — wiecznego milczenia, nie wyrzekli się nadziei pozbycia się narzuconej im pańszczyzny, niewoli i tyranii. Udowadniając swe przywileje prawami spisanymi na pergaminach latami toczyli nierówny spór. Sądy szlacheckie, rzecz jasna, nie chciały potwierdzić oczywistego prawa Chodów. W liczbie 400 ludzi powstali oni przeciw panu feudalnemu i wojskom cesarskim. Powstanie jednak zostało krwawo stłumione, Chodowie popadli w jeszcze cięższą niewolę, ale pozostało zarzewie dalszej walki. Ich delegaci zostali osądzeni na kary wieloletniego więzienia, a płomienny rzecznik obrony ludu chodzkiego Jan Sladky Kozina został stracony w 1695 r. Pamięć o tym bohaterze przetrwała wśród ludu po dzień dzisiejszy, wpleciona w niejedną pieśń i legendę, a wędrującemu po tamtych stronach Jiraskowi powiedziała jakaś staruszka: *„Nic nie wiem, panie, ale ksiądz dziekan posiada księgi, w których to wszystko dokładnie jest opisane. Wiem tyle, że Kozina został stracony niewinnie i że jest święty“.*

Wśród Chodów zachowała się także pamięć dalekiego pochodzenia polskiego w po dziś dzień śpiewanej piosence, którą notują zarówno czescy, jak i polscy kronikarze:

„Ja jsem chlapik z Polske,
Dobrze mi do heksercirka.
Ja jsem chlapik z Polske,
Dobrze mi to de.
Psali do mnie kutszti pani,
Że koni mie vodhovaji,
Że muszim na vojnu,
Że muszim za nie.

Tych to potomków Polaków i ich walkę z feudałami i pańszczyzną uczynił Alojzy Jirasek ośrodkiem „Psiogłowców“, jednej z najlepszych rewolucyjnych powieści czeskich.

Szczególnie polonofilski charakter ma obszerne opowiadanie „Sobota“[7]) (1887), w którym Jirasek artystycznie zobrazował swe wspomnienia o powstaniu polskim 1863 r. i wyraził sympatię dla powstańców polskich i ich sprawy. Odtworzył w nim również duże poruszenie w społeczeństwie czeskim wywołane wydarzeniami w Polsce. Lud czeski stanął bez zastrzeżeń po stronie Polaków, uważając ich walkę za część i drogowskaz swej własnej walki. W „Tczewskim stosie“[8]) utrwalił Jirasek kulminacyjny punkt przyjaźni i stosunków czesko-polskich we wczesnym średniowieczu, w okresie zwycięskiego pochodu rewolucji husyckiej. Oddziały husyckie Sirotków — bojowników legendarnego Žižki — śpieszą z pomocą Polsce zagrożonej napaścią krzyżaków. Wspólnie oblegają Chojnice i zajmują mocno ufortyfikowany Tczew. Nie są to żołdacy zwabieni widokami bogatych łupów wojennych, lecz bojownicy, którym przyświeca poczucie braterstwa i wspólnoty słowiańskiej. Jirasek wskazuje na ogólnosłowiański charakter walk z najeźdźcami, wspominając, że w oddziałach husyckich znajdowali się również Polacy.



Chorąży Psiogłowców

Myśl wspólnoty słowiańskiej nieco później rozwinie Jirasek szczególnie w dramacie „Gero“. W utworach „Stara wojenka“ i „Na walecznych szlakach“ oraz w kronice epoki odrodzenia „F. L. Veku“ śledzi losy czeskich bojowników na terenie Polski, pisarz nosił się z myślą obszerniejszego opracowania wspólnych walk polsko-czesko-ruskich z krzyżakami na wzór „Krzyżaków“ Sienkiewicza, lecz niestety już nie zdążył dzieła tego napisać.

Idąc za najstarszymi legendami czeskimi Jirasek w pięknie artystycznie opracowanych „Starych opowieściach czeskich“ (1894 r.) we wstępnej legendzie o Czechu i Lechu — „Dwaj bracia“ (w oryg. „O Czechu“) wskazał na starożytne tradycje pokrewieństwa i wspólnoty wszystkich Słowian, w szczególności zaś braci — Czechów i Polaków. W innej opowieści opiewał wspólnego polsko - czesko - słowackiego bohatera ludowego, Janosika. O rewolucyjnej wspólnocie czesko-polskiej pisał również i w innych utworach, jak: „Bractwo“, „Król husycki“, „Jan Žižka“ i „Jan Hus“.

Dzieło Alojzego Jiraska odegrało w przeszłości i odgrywa obecnie olbrzymią rolę w sprawie polsko-czeskiego zbliżenia kulturalnego.

Bronisław Cirlić

1) Kobruv kalendar; Dzieła zebrane w wyd. J. Otta w Pradze, T. 12, „Z ružnych dob“ II. Dzieła zebrane podaję według pierwszego wydania J. Otta.
2) „Uroki świata“ napisane dla czasopisma „Lumir“ 1880; później oddzielnie wyd. w 1883 r.; Dzieła zebrane t. 17.
3) „Psiogłowcy“ — „Kvety“ 1884; Dzieła zebrane, T. 21.
4) Szabłowski Teodor — „Tygodnik Ilustrowany“ 1899, II, nr. 30.
5) Edward Jelinek — „Tygodnik ilustrowany“, 1883, II, nr. 36—37; „Kraj“, 1904, I, nr. 23.
6) Kołodziej — „Kraj“ R. 1904, nr. 23, s. 6—7.
7) „Sobota“ — „Osveta“ 1887; Dzieła zebrane, T. 24 — „Domu a jiné obrazky“.
8) „Tczewski stos“ 1890. „Kvety“ R. 1891. „Z ružnych dob“ II — Dzieła zebrane t. 12.
*) Artykuł omawiający całokształt twórczości Alojzego Jiraska ukazał się w 38 n-rze „Wsi“.

WŁADYSŁAW SUDAK

W SZCZEBRZESZYNIE

W czwartym miesiącu po wyjściu z więzienia zostałem znów aresztowany.

W więzieniu zastałem wielu towarzyszy, którzy jeszcze czekali na sprawę i dziwili się, że tak prędko wróciłem, a towarzysz, który był starostą komuny więziennej, zrzekł się swej funkcji żartując, że przyszedł dawny starosta z urlopu. Po kilku miesiącach zawiadomiono nas piśmiennie, że akt oskarżenia możemy przejrzeć w sądzie, do którego nas policja doprowadzi.

Oskarżonych było pięciu: Ziaja Stanisław, Goldwag Michał, Radzik Piotr, Feder i Dudak. Ziaja tłumaczył się, że jechał, jako korepetytor przygotować kogoś do egzaminu i wstąpił do szewca naprawić pantofle — ukazywał dziurawe podeszwy. Ja przyszedłem do starego Fedra, który handluje końmi, aby kupić konia. Goldwag przyszedł po brązowe pantofle, Radzik towarzyszył mu do Zamościa, bo ma tam narzeczoną i chce się z nią widzieć.

Gdy nas prowadzono na sprawę, byliśmy skuci w kajdany parami: ja z Radzikiem, Goldwag z Fedrem, a Ziaja był skuty osobno i doczepiony do wspólnego łańcucha, do którego byliśmy wszyscy przykuci. Otoczeni kordonem policji doszliśmy do sądu. Na sprawę przybyli również chłopi, którzy byli świadkami oskarżenia.

Pierwszy chłop, świadek prokuratora zeznawał:

„Proszę sądu, ja nic nie słyszę na oba uszy, bo policja na posterunku w lochach wybiła mi bębenki, bito mnie przez całą dobę zmuszając mnie, abym świadczył przeciwko ludziom, których spotkałem u szewca i wcale ich nie znam. Policja odebrała mi zdrowie i obecnie nie mogę pracować, widzę ludzi ale nie słyszę ich“.

Na sprawie sądowej obrona nie tylko obaliła akt oskarżenia, ale wykazała, że ten, kto go pisał, nie znał programu KPP. Komuniści nie posługują się bronią, nie uprawiają dywersji i palenia dworów...

Przez złośliwość nierozwiniętego umysłowo świadka spowodowano areszt, ale nie udowodniono, że to była konferencja KPP.

Po naradzie sąd okręgowy w Zamościu odczytał wyrok: Ziaja Stanisław skazany na 6 lat więzienia z pozbawieniem praw na 10 lat, Dudak Władysław vel Włodzimierz skazany na 6 lat więzienia z pozbawieniem na 10 lat, Radzik Piotr Goldwag Michał, Feder po 5 lat każdy z pozbawieniem praw.

Po sprawie zostaliśmy rozwiezieni do więzień karnych. Ziaja został wywieziony do więzienia w Drohobyczu, a mnie, Radzika i Goldwaga odesłano do Janowa Lubelskiego. Do Janowa przywieziono nas w nocy, nigdzie w oknach światła nie było. Posadzono nas na wyższym piętrze w obszernej celi, w której nie było łóżek, a jedynie parę stołków metrowej długości.

W tym czasie przyjechał nowy transport 5-osobowy z Lublina w którym byli Wajskop, Jugman i Sawin.

Na apelu o godzinie 7 wieczór rozpoczęli oni śpiewać Międzynarodówkę. Podtrzymaliśmy ich śpiew półgłosem, po parę osób, w każdej sali. Wpadła policja.

Masakrę uplanowano z góry, gdyż straż więzienna była pijana i w bestialski sposób rzucała się na więźniów, kopiąc i tratując towarzyszy leżących na podłodze. Gdy oprawcy uważali, że ofiara ma już dosyć, wyprowadzano zbitego towarzysza do więźniów kryminalnych, nakazując im „bić komunistę“. Naczelnik chyba uważał, że oprawcy nie dadzą rady wszystkich pobić, gdyż sprowadził motorową sikawkę. Wkrótce przybyła straż ogniowa, która uruchomiła sikawkę i oddaliła się. Przybył również komisarz z policją. Nie brali jednak udziału w masakrze, lecz stali za bramą i przyglądali się, jak motorowa sikawka pompowała wodę.

Podczas święta morza było sporo ludzi w kościele. Słysząc krzyki podobno podchodzili pod więzienie, a policja ich rozpędzała.

Węże przeciągnięto przez podwórze więzienia i przez okna do cel. Oprawcy poczęli kolejno lać wodę w twarze tego kto się odwrócił plecami — oprawca z całej siły uderzał metalową prądnicą, po czym poturbowanego odprowadzali do pospolitych zbrodniarzy.

Było to istne piekło, którego nie jestem w stanie opisać. Gdy mnie wprowadzono do kryminalnych widać było, na nich okropne przerażenie, a w celach politycznych rozlegał się jęk i krzyk: „Precz z biciem, kaci“. Huk motoru i szum wody oraz jęki bitych towarzyszy rozlegały się potężnym echem do późnego wieczora.

Po masakrze wszystkich towarzyszy zmieszano z kryminalnymi, którzy jednak ustosunkowali się do nas przychylnie, za wyjątkiem pewnego zbrodniarza, który znęcał się przez całą noc nad paroma towarzyszami.

W więzieniu Janowskim bardzo łatwo można się skomunikować na migi, gdyż wszystkie okna wychodzą na ciasne podwórze. Rano ogłosiliśmy głodówkę. Naczelnik bojąc się, że możemy pociągnąć za sobą pospolitych więźniów, dał rozporządzenia, aby nas z powrotem sprowadzić do dawnych cel. Gdy przyszliśmy na stare miejsce cele były jeszcze mokre, lecz już woda wylana. Następnego dnia zastosowano wobec nas sztuczne karmienie. Działo się to w ten sposób: wchodziło dwóch oddziałowych do celi, brali towarzysza pod rękę i ciągnęli go na drugie piętro do niedużej celi, tu sadzano go przemocą do stołka i wykręcano w tył ręce. Dwóch oddziałowych trzymało nieszczęśliwego, a trzeci usiłował go „karmić“ za pomocą cienkiej gumowej rurki wysmarowanej wazeliną. Gdy więzień zacisnął zęby, rurkę wkładano mu do nosa i wlewano nie duży garnczek rzadkiej lury, po czym rurkę wycierano podartym pokrzywowym workiem, który leżał na podłodze. W ten sposób w dniu głodówki zamordowano w Janowie 5 towarzyszy, z których Nołotiuk, Tysa i Gadziewicz zmarli na miejscu, a Drozd i Stepaniszyn zmarli we Wronkach w dniu przyjazdu.

W 6-tym dniu głodówki zostałem wywieziony do Wronek z grupą towarzyszy w liczbie 64 osób.

Wygląd nasz w dniu wyjazdu był okropny i budził przerażenie nawet u naszych oprawców. Byliśmy po długofalowej akcji zarośnięci i wynędzniali, a po masakrze każdy był chory i ledwie mogliśmy się trzymać na nogach. Towarzysze, którzy byli silniejsi prowadzili słabszych, trzymaliśmy się po trzech i szliśmy do samochodów. Kto nie mógł iść, tego oddziałowi nieśli pod ręce, a nogi wlekły mu się po ziemi. Gdy nas pakowano do pociągu dookoła stał cały kordon policji. W wagonach skuto nas parami. Gdy transport przybył do Lublina i przejmowała nas tamtejsza policja, nawet komisarz był naszym widokiem przerażony. Kazał nas rozkuć, mówiąc: „Chyba nie będziecie się rzucać na policję, aby ją rozbroić“. Gdy komisarz poszedł, słyszałem jak jeden policjant powiedział do drugiego: „Ty, patrz, co z tych ludzi zrobiono“.

We Wronkach zostaliśmy umieszczeni w malutkich celkach tak zwanych „trumnach“. Siedzieliśmy tam przez parę miesięcy, możliwe, że siedzielibyśmy dłużej, ale u więźniów kryminalnych wybuchł bunt i przeprowadzono nas do centralnego więzienia. Mnie osadzono na skrzydle „C“, w winklu. Światło tu niemal nie dochodziło, a że grunt we Wronkach jest niski, to w tym winklu na parterze stale była wilgoć. Pomimo interwencji starosty komuny więziennej nie przeniesiono mnie do innej celi i przesiedziałem w tamtej dziurze przez cały rok.

Kiedy Wronki jako więzienie dla politycznych poczęto likwidować, zostałem wywieziony z grupą towarzyszy do Grudziądza, gdzie obowiązywał nowy regulamin więzienny. Grupa nasza była dość liczna i postanowiliśmy nie poddawać się tak łatwo.

Z więzienia wyszedłem 1937 roku późną jesienią, wynosząc skutki masakry Janowskiej na całe życie. Przyszedłszy do domu zastałem głód i nędzę. Zachorowałem na ostre zapalenie płuc i tylko dzięki troskliwej opiece lekarskiej w szpitalu szczebrzeszyńskim, jak i lekarstwom, których mi udzielał bezinteresownie doktór Klukowski, zawdzięczam życie. Po przyjściu do zdrowia zaopiekowali się mną towarzysze.

Władysław Sudak



Strajk okupacyjny w fabryce w Polsce przedwrześniowej
Laboratorium fot. Wydz. Hist. Partii KC PZPR

*) Z materiałów konkursowych PIW i Polskiego Radia.

Z tajników redakcyjnego kosza

Otrzymaliśmy opowiadanie od pewnego literata. — Temat niebylejaki: życie spółdzielni produkcyjnej, trzydzieści stron maszynopisu. Trzeba przyznać, że owo życie zbadał autor gruntownie. Napisał o areale, ilości członków i jakości członków, o parku maszynowym, o statucie, wlepił nawet do tekstu opowiadania dokładnie przepisaną umowę z POM-em i wszystkie protokóły ostatnich zebrań — oczywiście in extenso (proza dokumentalna, kolego! Za sto lat na wagę złota!). Poustawiał po kolei krowy według rasy i mleczności, w pełnym ekspresji i napięcia obrazie literackim przedstawił zbożny trud dojenia rzucony na szerokie tło czerwonej obory i niemniej malowniczego obornika.

Praca w polu dostarczyła mu bezcennych wzruszeń — „barwne plamki dziewcząt rozsypane na ściernι jak ulęgałki" (dosłownie). Ale nie myślcie, że poprzestał na opisie malarskim („Bo ja panie kolego, nie lubię frazesów, lubię wyciskać sam miąższ życia — to jest twórczość, panie kolego").

Wyciskał też miąższ oburącz i z poświęceniem. Pożyczył sobie nawet od grupowego — książeczkę obrachunkową i skrzętnie zanotował wydajność pracy. Ponieważ miał skłonność do statystyki, posegregował dniówki obrachunkowe według płci i wieku (!) i otrzymał nawet dość ciekawe dane („Pracę magisterską z ekonomii, kolego, można pisać!")

Lecz i to nie zaspokoiło naszego sumiennego literata. („Z ludźmi trzeba gadać, kolego! W dialogu siła reportażu! Ale to nie takie łatwe. Trzeba umieć do ludzi podejść") Dialogi rzeczywiście mu się udały.

— Czołem, koledzy żniwiarze!

— Czołem, kolego literacie!

— Gorąco dzisiaj.

— Gorąco, kolego literacie!

— Przydałoby się więcej kadr.

— Więcej kadr, kolego literacie!

— Ale i tak zdążycie.

— Ale i tak zdążymy, kolego literacie!

— Zbierzecie chyba po trzydzieści z hektara...

— Chyba po trzydzieści, kolego literacie!

— To i nowych członków przybędzie.

— Przybędzie, kolego literacie!

— Chyba wiecie, że w ten sposób walczycie o pokój.

— Chyba wiemy, kolego literacie!

— Czołem, koledzy żniwiarze!

— Czołem, kolego literacie!

Nasz literat zaciera ręce: „w ten sposób, kolego redaktorze, naprowadzam zręcznie chłopów na właściwe rozwiązanie każdego, nurtującego nas problemu, a co ważniejsze, zmuszam do myślenia, pozostawiając, niezależnie od zdobyczy pióra, trwały ślad (to między nami, kolego redaktorze) w dość jeszcze chropawej duszy chłopa. Proponuję podzielenie się mymi doświadczeniami terenowymi z czytelnikami „Wsi" — zróbcie to dla mnie. Tylko bez skreśleń i przeróbek, bo wy redaktorzy zawsze chcecie wtrącić swoje trzy grosze... No, no, nie usprawiedliwiajcie się, panie kolego, już ja was znam.

Rzeczywiście opowiadanie naszego literata warte jest omówienia w całości.

Nie pominiemy również jego sposobu opisu życia prywatnego spółdzielców (bo, panie kolego, człowiek nie jest manekinem, ma swoje radości i smutki, życie rodzinne — uczucia „prywatne", to ważny element, bez którego profil duszy bohatera wygląda jak bez nosa).

Zgodziłem się i z uczuciem podziwu przeczytałem ustęp p. t. „Po pracy".

Miauknął kot. Pisnęła mysz.

— Niegrzeczny kotek — mówi Wojtuś.

— Biedna myszka — mówi Kasia.

— Nie mata racji — podniósł się z drzemki stary Józef, ojciec Wojtusia i Kasi. Kichnął i spracowaną ręką otarł zwisającą mu jak sopel — kroplę z nosa.

— Na zdrowie — krzyknęli Wojtuś, Kasia, Weronka, Stefka i Marcinek, tudzież mały Jędruś zaszczebiotał w kołysce.

Stary Józef uciszył ich ciężką spracowaną ręką, w którą jakby wrósł brud ziemi.

— Nie mata racji — powtórzył.— Myszy to szkodniki gospodarcze. Czytałem w „Rolniku", że zjadają rocznie 180.000 kwintali ziarna... Wikta, daj kotu mleka! — to mówiąc usnął. Spracowana, poradlona jak kartoflisko dłoń zwisła mu z łóżka.

Żona Wikta sprawnym ruchem nalała kotu mleka. Kot pije. Dzieci przyglądają się kotu. Matka przygląda się dzieciom. Słońce na oknie umiera w pelargoniach. Aksamitny wieczór kładzie się kojącym chłodem na matkę, na dzieci, na kota i na ciężko spracowaną, poradloną i pobrużdżoną rękę ojca, zwisającą spod pierzyny, jak rosochata gałąź.

Długo stałem pod urokiem tej sceny i postanowiłem zamieścić ją w całości.

— Jakiż jest wasz ogólny sąd, kolego redaktorze?

Nie chciałem sobie robić z literata wroga i mówię łagodnie:

— Bardzo bardzo... tylko ja nie widzę tutaj problemu.

— Jak to? A problem tępienia myszy? — he, he, złapałem was, redaktorze.

— Poza tym nie ma konfliktu...

— Co znaczy „nie ma"? Dzieci są po stronie myszy, stary Józef po stronie kota. Wzór dialektyki (tu wysłuchałem wykładu, przy którym Schaff — to zero). Zważ pan, panie kolego, walka przeciwieństw a zarazem jedność. Dzieci i stary Józef to przecież rodzina. He, he, złapałem was redaktorze.

— No dobrze, ale u was dzieje się wszystko w powietrzu, nie ma ani zrozumienia historycznego etapu, ani współzależności zjawisk.

— Ej, pedant z was redaktorze, ale ja lubię rzeczową krytykę.. Słusznie w opwiadaniu nie ma daty. Dopiszemy więc: było to 3 sierpnia 1951 r. Zdaje się wyraźnie? — rzekł z troską, podsuwając mi pismo pod nos.

— Nie — ryknąłem — brakuje godziny!!

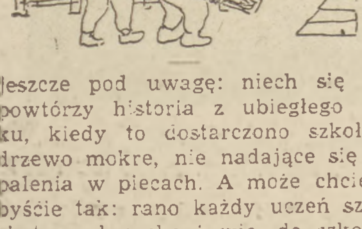
Spokojnie dopisał: „szósta wieczorem".

— A jeśli chodzi o współzależność zjawisk, to — to przecież jasne, kot złapał mysz, dzieci krzyknęły na kota, ojciec krzyknął na dzieci. Od złapania myszy — uzależniłem nakarmienie kota mleczkiem. Poza tym nie zauważyliście, że przy sposobności załatwiłem się ze sprawą czytelnictwa na wsi... he, he, złapałem was, redaktorze.

MARCIN WIELGUS

Co piszczy w Kępnie?

Mieścina Baranów jest siedzibą Prezydium GRN gminy Kępno-Południe. Pod adresem tegoż Prezydium kierujemy pytanie, kiedy zaopatrzy w drzewo opałowe szkoły podstawowe leżące w zasięgu jego działalności? Bo proszę ja obywateli, zima za pasem, a tu z tym drzewem coś bardzo nie tęgo. I to



jeszcze pod uwagę: niech się nie powtórzy historia z ubiegłego roku, kiedy to dostarczono szkołom drzewo mokre, nie nadające się do palenia w piecach. A może chcielibyście tak: rano każdy uczeń sztachetę pod pachę i wio, do szkoły?

* * *

„Hallo! Zarząd Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska w Baranowie". Czy nas słyszycie? Co? Nie macie czasu? Nawał roboty? Tylko jedno pytanie, ob. prezesie! Kiedy zamierzacie zaopatrzyć w węgiel nauczycielstwo waszej gminy? Co? Powiadacie, że „już się robi". Hallo! Hallo!" Cisza. Słuchawkę o d ł o ż o n o. Niestety jak się okazało — sprawę zaopatrzenia nauczycieli w węgiel — t e ż.

* * *

Obywatel Paweł Nawrot z Łęki Mroczyńskiej (gmina Kępno-Południe) jest, jak to się na wsi utarło, „tym od układania list na towary włókiennicze". Cóż, kiedy ob. Nawrot zadania swego nie rozumie. Oto ostatnio przydzielił parę jedwabnych pończoch kułaczce Gertrudzie Maciejewskiej z Łęki Mroczyńskiej. Czy jako najbardziej potrzebującej? Czy ze względów sąsiedzkich? Bo chyba nieprawda, jak mówią, ob. Nawrot, że do tych nóżek czuliście specjalną „skłonność?" Chociaż kto wie? Serce nie sługa... Co?

* * *

A teraz parę słów o sklepowej ze sklepu GS w Łęce Mroczyńskiej. Ob. Osiecka! Przypuszczam, że to z przeoczenia sprzedaliście dnia 15 września br. 1 kg. margaryny kułaczce Pieprzowej.

Dziwiłem się, na co zamożnej gosposi margaryna. Teraz już się nie dziwię. Odkąd rozeszło się po wsi, że sprzedaje masło... po 25 zł. za... pół kilograma. Tylko skąd taka cena? Margaryna przecież kosztuje tak niedrogo.

Jacek Wąchała

Gazetka gminna

Czterdziesty piąty siewnik

U nas w Dziechcicach pow. Mrągowo wszyscy chłopi uradzili siać w tym roku siewnikami, bo to i szybciej skończysz i lepiej ci obrodzi. Otóż ja w sprawie tych siewników.

POM przygotował ich coś 24, chłopi mają też ze 20, więc razem do siewów mamy w gminie 44 siewniki. Do wczoraj było nawet 45, ale ten ostatni, proszę Redakcji, ja rozmyślnie uszkodziłam, tak, że chociaż niby nadal sieje, jakoś nic z tego nie wychodzi. Ten czterdziesty piąty „siewnik" nazywa się Matusiak, ma 12 ha gruntu, krzywe nogi i gębę jak pączuszek. I tak jest bestia, zmyślnie „urządzony", że chociaż go nikt nie ciągnie, sam po chałupach łazi i upasioną na krzywdzie ludzkiej gębusią plotki s i e j e. Niby, żeby nie brać w spółdzielni produkcyjnej kwalifikowanego ziarna, bo, powiada, jak takim zasiejesz, to ci po żniwach wszystko zabiorą — gorzej niż gdybyś kontraktował.

Wczoraj ten plotkosiej przychodzi do mojego starego i dalej go w tym sensie bajtlować. Ja niby to nie słucham, alem w końcu nie strzymała i mówię mu grzecznie: „zamknijcie pysk i łgarstw mi tu nie wytrząsajcie". Stary mnie za spódnicę odciąga, że to niby nie politycznie tak prawdę w nos mówić, a ja nic, tylko rąbię prosto z mostu: „Niby to my nie wiemy, że do świętego Mikołajczyka się modlicie i dlatego różne plotki po wsi puszczacie, aby ino narodowi w Polsce szkodzić? Ale dziś chłopów na swój kułacki lep nie weźmiecie. A tera wynocha stąd, pókim dobra. Głupich szukajcie gdzie indziej!"

No i poszedł jak zmyty, ale głupich, proszę Redakcji, w naszej wsi nie znalazł, bom zaraz skoczyła po rozum do głowy i chałupy obleciałam. Z babami rzecz dokumentnie omówiłam i teraz nawet dzieciaki palcami go wytykają i od plotkosiejów przezywają. A te 44 siewniki w sam raz nam do siewu wystarczą.

Katarzyna Ptyś

Sprawa trzeźwości



Poradźcie co zrobić z gorzelnią w Lubiatowie? Stoi sobie akurat po środku podwórza spółdzielni produkcyjnej. Kiedyś należała do Samopomocy Chłopskiej, ale odkąd podworskie budynki zajęli spółdzielcy — gorzelnię przejęło państwo. Dawniej pracowali w niej „dworusy", obecnie załogę stanowią w znacznej części spółdzielcy. Skutek jest taki, że spółdzielcy nie tylko dzielą pracę na dwoje, ale też dwoi im się niekiedy w oczach po wypłacie.

Po mojemu sprawę trzeba szybko załatwić, ale nie tak, jak to czynią niektórzy powiatowi inspektorzy, które często dokonują „wizji lokalnej", ale już po litrze tracą pamięć i znowu przyjeżdżają, aby przypomnieć sobie, co zbadali.

Byłem na miejscu i wiem, że lubiatowski kolektyw jest dobry, ale w gorzelni pracować nie powinien, bo się zepsuje jak tak dalej pójdzie. Gorzelni na plecach nie przeniesiesz — powiadają w powiecie, ani nie zamkniesz i ziemi spółdzielczej w inne miejsce nie przesypiesz.

Ale można i trzeba osadzić przy zakładzie produkcyjnym silny aktyw polityczny, który zadba o stan ideologiczny i moralny załogi i kolektywu spółdzielczego. Do tego wniosku przyjść muszą inspektorzy — jeśli nad sprawą zastanowią się — trzeźwo.

Wojciech Stelmach

Jest POM i SOM...

Mam 3 hektary w gminie Solec, pow. Iłża i chcę je najrychlej obsiać, bo siewy się u nas opóźniły przez suszę. Ale aby ino deszczyk przepadał i maszyn nam dostarczyli na czas, to raz dwa z siewami się uwiniemy.

Właśnie o te maszyny mi chodzi. Jest u nas POM i SOM, ale ich kierownicy jakoś się nie bardzo kochają. Pal diabli, nie o miłość między nimi idzie, lecz o to, że choć jednym językiem mówią, dogadać się ze sobą nie mogą, weźmy choćby w czasie ostatnich żniw: POM miał ciągniki, których nie używał



z braku kosiarek i żniwiarek, a SOM znów miał kosiarki i żniwiarki, tylko ciągników mu brakowało... I chociaż w gminie było maszyn sporo, chłopi w żniwa machali kosami jak za nieboszczki sanacji. Poniektóra baba, to i za sierp chwycić musiała. A wszystko dlatego, że obywatele kierownicy boczyli się na siebie.

A na mój chłopski rozum wziąwszy — powinno być inaczej. Trzeba, żeby obywatele kierownicy zostawili fochy w nosie, a sami zeszli się co rychlej, byle nie przy butelce, i dokumentnie omówili współpracę swych ośrodków w czasie orki jesiennej i siewów. Służą przecież jednej sprawie i mają chłopom pomóc w przebudowie wiejskiej gospodarki, więc niech pamiętają o wierszyku, którym na poczekaniu złożył, jako że od dziecka smykałkę do składania wierszy miałem i nie jednego literata bym zakasował, alem przed wojną skończył tylko 3 oddziały szkoły powszechnej, a 10 lat pasienia krów u sąsiada-bogacza talentu we mnie jakoś nie rozwinęło:

Niech się kierownikom we łbach
nie przewraca,
bo SOM-y dziś i POM-y łączy
wspólna praca.
A jeśli nadal będą trwać w swoich
humorach,
to wziąć ich za kuperki — i fora
ze dwora!

Wojciech Małolepszy

I na nich przyszła kolejka

Szedłem do miasta za interesem, patrzę — na targowisku osobliwa kolejka: konie, wozy, świnie. Myślę sobie: czyżby spekulanci i plotkarze zbałamucili nierogaciznę, kiedy zmądrzeli ludzie? A że jestem z natury ciekawy, przecisnąłem się bliżej biura. Nic podejrzanego — chłopi spokojnie liczą pieniądze, mędrkują, pokpiwają, ten i ów się niecierpliwi, bo w polu siew jesienny i wykopki. W biurze tylko miny coś niewyraźne, panowie od skupu guzdrzą się aż mdli.

Referent skupu ob. Stadnicki nie troszczył się o to, by kontraktacja w gminie rozwijała się pomyślnie, mruczy więc teraz niezadowolony pod nosem, że chłopi są niekulturalni, „nie prosisz, a lezą", a klasyfikator ob. Ćwik desperackim spojrzeniem ogarnia wciąż nadjeżdżające nowe wozy z tucznikami.

— Do wieczora nie skończymy — szepcze na ucho ob. Stadnickiemu.

Ten przypomniał sobie natychmiast o więzi z masami, przeszedł się obok wozów, rozciął gestem kolejkę i oznajmił: — Więcej nie przyjmujemy, możecie pojechać do domów".

— Jak to? — przystanąłem zdumiony. Robotnik czeka na mięso, a tu każą odjeżdżać? Czyżby panowie Stadnicki i Ćwik nie znosili kolejek?

Ależ skądże! Jak stwierdził prokurator, spółka ta doskonale się



czuła, gdy ludzie cisnęli się po cukier, mydło i naftę. Takie ogonki tolerowali. A skoro plotka o brakach towarowych przestała działać, a chłopi masowo ruszyli na punkty spędu, rozpoczęli walkę z ogonkami.

Posiedzą teraz — każdy po roku z... ogonkiem.

Jan Zuska

Nowi producenci i Durniok

Ostatnio przeczytaliśmy wspólnie artykuł tow. Zambrowskiego pt.: „Rozwój rolnictwa w Polsce" — ja Wawrzyniec Papa, Jan Kot, syn Piotra i Józef Nogajski — wszystko chłopy średniorolne po reformie



rolnej. Doczytaliśmy się, że w naszych średniackich gospodarstwach leżą niewyczerpane możliwości zwiększania dochodów i towarowości. I to jest prawda, chociaż Nogajski twierdził na początku, że ze swojej ziemi więcej nie wyciśnie, nawet gdyby sam palcem nie kiwnął, a wszystko zrobiły maszyny. Było trochę krzyku, ale Józef uparty nie jest, zgodził się, że trzeba nam będzie przestawić się silniej na hodowle i rośliny przemysłowe.

Idziemy więc do GRN i powiadamy, że będziemy żywiej z państwem handlować, jako hodowcy tuczników i plantatorzy rzepaku.

Stary Durniok, który trzyma się w gminie od 40-stu lat dlatego, że ma okrągłe pismo, przyjął nas pod nieobecność przewodniczącego i dawajże mnie sztorcować (bom przemawiał w imieniu grupy):

— Takie dziady — handlować? Czym? Chyba świeżym powietrzem! Patrzta, żebyście mieli sami co do garnka włożyć.

Kot nie wytrzymał:

— Dziady to my byli, ale za sanacji, kiedyście Durniok dziedzicowi laurki na imieniny wypisywali, a teraz to i biedniak nie dziad, a co dopiero my średniaki z reformy!

Widzi Durniok, że się źle robi, więc z innej beczki:

— Plan nie przewiduje. Zeszłego roku, jakżeśmy podnieśli plan skupu, toście krzyczeli, że niesprawiedliwość. No to obniżyliśmy cały plan na ten rok. Nic się nie da zrobić. Siejta tylko żytko.

Powiem prawdę — zatkało nas. Ale na drugi dzień, jak się człowiek opamiętał — widzimy, że rzecz nie jest w porządku. Przecież plan można przekraczać z inicjatywy chłopskiej. To chyba nie grzech? A co było zeszłego roku — nie wypominajcie Durniok. Zeszłego roku było przez was narzucone, a w tym roku my zadecydowali sami. Różnica jest?

Wawrzyniec Papa

„Poprawiacze"

„Poprawiacze" — to typ dość szeroko rozpowszechniony i szkodliwy, podważa bowiem zaufanie w praworządność ludową i zasadę demokratycznej centralizacji władzy. Przekonał się o tym ob. Kalinowski — repatriant z ZSRR, mający tam niezłe osiągnięcia jako miczurinowiec. Po powrocie do Polski minister rolnictwa przyznał mu gospodarkę w Mrozach pod Mińskiem Maz. i 3.000 zł. na pomoc techniczną. „Będę mógł wśród okolicznych chłopów szerzyć osiągnięcia Miczurina" — planował naiwnie repatriant.

Lecz tu dochodzą do głosu „poprawiacze". Pierwszy — to przewodniczący GRN w Mrozach — Bajszczak.

— Z tymi ministrami, jak z dziećmi... — pomyślał pobłażliwie, czytając decyzję ministra. — Łatwo mu w tej Warszawie papierek podpisać. A ja dla jakiegoś „Ruska" znajomka z chałupy nie wysiudam!

I rzeczywiście, nie wysiudał. Znajomek nadal mieszka w gospodarce repatrianta.

Drugi „poprawiacz" — to inspektor „od sadownictwa" WRN w Warszawie, który miał spowodować wypłacenie owych 3.000 zł.

— Więc to niby wy chcecie prześcignąć tego Miczurina? — zapytał sceptycznie inspektor, oglądając chłopa.

— Nie prześcignąć, ale pójść w jego ślady. Wypróbować w Polsce to, czego się tam nauczyłem — odparł skromnie repatriant.

— To wam się nie uda — orzekł ze znawstwem inspektor. — Gleba tu jest wprawdzie niezła, ale klimat kiepski. W Mrozach nawet wiosną lubią się trafiać mrozy. Ot, co daleko szukać — jeszcze wczoraj rano był tu niezły przymrozek. Półtora stopnia poniżej zera!

W Związku Radzieckim miczurinowcy hodują swoje rośliny nawet przy 20-stopniowym i większym mrozie...

Inspektor lekko się speszył, ale tylko na chwilę.

— W Związku Radzieckiim mogą sobie hodować nawet przy 50 stopniach. Wolno im. Ale my nie będziemy ryzykować. Zresztą, oni stosują tam specjalne inspekty. A wy — inspektor czuł, że teraz chłopa zmiażdży — wyście tu nawet porządnych inspektów zimowych nie założyli. Ot, co.

— Kiedy nie było za co. Założę, gdy tylko dostanę te trzy tysiące...

— Aha, kiedy dostaniecie!? — zdziwił się inspektor. — Tylko kto wam je da, gdy nie macie mieszkania przy działce. A bez tego inspektów nie przypilnujecie. Potłuką je chłopaki i jeszcze krzewy pokradną. Ot, co.

Kalinowski próbował wyjaśniać. Gdyby miał to mieszkanie, dałby sobie radę z chłopakami. I możeby pan inspektor... Ale ten już nie słuchał. Zajęty był pisaniem w notesie:

...„Stwierdzam, że ob. Kalinowski nie przyniesie pożytku na swojej działce".

I pośliniwszy ołówek, dopisał:

„Uważam, że Kalinowskiego można by co najwyżej przenieść do Instytutu Rolniczego w Puławach..."

Z kolei my uważamy, że do Puław należałoby przenieść właśnie pana inspektora. Razem z obywatelem przewodniczącym. Oczywiście, w charakterze eksponatów do gablotki roślin polnych. Ściślej mówiąc, do gablotki roślin szkodliwych dla rozwoju gospodarki rolnej. Jeżeli nawet w Puławach taka gablotka nie istnieje — trzeba ją czym prędzej założyć! I pokazywać ich tam, jako okazy gatunku c h w a s t ó w, które należy w y r y w a ć z k o r z e n i a m i.

Andrzej Grobelny

O trzech dziewicach z POM-u

Wbrew temu, co każdy pomyśleć może — chodzi o mężczyzn, trzech tchórzliwych agronomów z Państwowego Ośrodka Maszynowego w Piotrkowie. Mają oni obsługiwać po trzy spółdzielnie produkcyjne każdy. Ale nie obsługują. Wstydzą się. Dano im miejsce na odpowiednich kursach, kształcono, żywiono i teraz taka z nich pociecha.

Wzywali ich niedawno spółdzielcy z Polichna, chodziło o sporządze-



nie odpowiedniej mieszanki z nawozów sztucznych. Jeden Jasio natychmiast po tym wezwaniu zachorował, drugi przekazywał akurat maszyny w teren, trzeci je odbierał. Prosili lubiatowiacy o pomoc w zakwalifikowaniu ziarna siewnego — wszyscy trzej zniknęli. Pojechali na naradę, której miejsca, czasu i przebiegu do dzisiejszego dnia ustalić niepodobna, a to dlatego, że narady nie było.

Kiedy się owe trzy dziewice w spodniach do muru przyciska, powiadają, że są jedynie teoretycznie do pracy przygotowane, ale praktyki boją się. A nuż skompromitują państwowe szkolenie? Tacy z nich „patrioci".

A ja wam mówię — kija na nich i to dobrego, do odpowiedzialności pociągnąć, wtedy sobie praktykę przypomną. Jak w niej jeszcze nie tędzy — to się w pracy nauczą. Ja też nie znałem w praktyce pracy korespondenta, a przecież sami widzicie, że się wyrabiam.

Maciej Kobiera

W poprzednim numerze

„Wieś" Nr. 40 z dn. 7.10.51 r.

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca września br. urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmować będą wpłaty na prenumerate w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 40180-90. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-42827